

SAMOCHODEM NA KAUKAZ PÓŁNOCNY

Paweł Krawczyk

Niniejsza relacja została spisana na podstawie kilku moich wyjazdów na Kaukaz Północny w latach 2002-2007. Wcześniej jeździłem tam co roku – pociągami, samolotem, autobusem. W 2007 roku po raz pierwszy pojechałem samochodem na polskich numerach, nie do końca pewien czy nie będzie to droga impreza...

PRZEJAZD PRZEZ UKRAINĘ

Do celu mam jakieś 2500 km przez Ukrainę, Rosję i być może Białoruś. Cel – Północny Kaukaz, Republika Kabardyno-Bałkarii, miasto Nalczik. Przed wyjazdem nie jestem pewien czy jechać przez Terespol i potem przez Białoruś, omijając Ukrainę sprawdzoną trasą przez Woroneż, którą kilkakrotnie jechałem z końmi. Drugi wariant to trasa geograficznie najkrótsza, przez przejście w Korczowej i potem przez Ukrainę najkrótszą drogą przez Lwów, Winnicę i Donieck. Znajomi z Rosji ostrzegali przed kiepskimi drogami a tym bardziej przed chciwymi ukraińskimi milicjantami. Ostatecznie decyduję się na chciwych Ukraińców i ruszam w stronę Korczowej. Jest sobota po południu.

Na granicy w Korczowej zapisuję licznik (186342 km) i włączam GPS. Na wjazd na terminal czekamy jakieś pół godziny – jest sobota po południu. Kontrola graniczna jest pobieżna. Polacy pytają tylko mimochodem czy wjeżdżałem kiedyś do Rosji z tymczasowym dowodem rejestracyjnym. Zgodnie z prawdą odpowiadam że nigdy, ale niespecjalnie się tym przejmuję, bo nasz tymczasowy dowód w postaci pojedynczego kartonika wygląda dokładnie tak samo jak rosyjski normalny („techpasport”). Zgodnie z oczekiwaniami w ciągu całego wyjazdu prawie nikt w to nie wnikał.

Łącznie z oczekiwaniami i procedurami przejazd przez granicę zajmuje ok. dwóch godzin. Zauważam, że jest znacznie mniej papierków niż na granicy białoruskiej, którą przejeżdżałem autem w styczniu – tam „obiegówka” wymagała podbicia chyba z sześciu pieczętek i łażenia po budkach rozsianych po całym terminalu. Tutaj wypełnia się tylko ukraińskie kwitki tranzytowe („karta migracyjna”) i karteluszek na który przybijają pieczętkę celnicy i pogranicznicy czyli właśnie obiegówkę. Ukraińców interesuje tylko „zielona karta”, która zapewnia na Ukrainie ubezpieczenie OC. Tuż za granicą kupuję hrywne i tankuję – litr diesla kosztuje 3,50 hrywny czyli 1,9 zł. Przez cały wyjazd z upodobaniem będę jeździł nieekonomicznie, depcząc gaz ile wlezie.

Kawałek za granicą jadąc w ciemnościach wjeżdżam dość szybko na białe poprzeczne pasy, które okazują się betonowymi spowalniczami niespotykanej wysokości. Nissan przelatuje przez nie z takim hukiem, że zastanawiam się czy nie zgubiłem mostów ale zarówno mosty jak i felgi są całe. Muszę się wykazywać większą czujnością ale droga do Lwowa też nie pozwala zasnąć – asfalt jest wielowarstwowy i zerodowany, tak że jazda wiąże się z ciągłym łomotem i sporadycznym wybijaniem auta na głębszych fałdach nawierzchni. Czasami wjeżdżamy na betonowe płyty – jeśli ktoś pamięta słynny odcinek hitlerowskiej szosy ze Zgorzelca to wrażenie jest podobne. Rozumiem teraz dlaczego znajomi koniarze z Kaukazu, którzy wracali przez Ukrainę z przyczepą tak mi tę trasę odradzali – przyczepa dobija do ziemi auto podskakujące na wybojach i wstrząsy są podwójne.

Po drodze błędę po wsiach wokół Lwowa, wyprowadzony tam przez jakieś znaki objazdu na obwodnicę. Okazuje się, że oznakowanie drogi może być jeszcze gorsze niż w Katowicach przed budową autostrady. To moje pierwsze spotkanie z wkurzającą manierą ukraińskich drogowców – tamtejsze drogowskazy nie pokazują po prostu skrętu w prawo lub lewo. Zamiast tego starają się wyjaśnić jak przebiega droga na danym skrzyżowaniu – w rezultacie na drogowskazach można zobaczyć fantazyjne zawijasy przecinające się w różnych płaszczyznach. Widząc coś takiego trzeba zwolnić – albo lepiej zatrzymać się – i przeczytać nazwy miejscowości, potem przyjrzeć się konstrukcji skrzyżowania leżącego za znakiem a następnie na podstawie spaghetti na rozszyfrować, którą nitkę miał autor na myśli.

Okolo pierwszej w nocy docieramy do Tarnopola (600 km od Korczowej) i szukamy noclegu. Pierwszy spotkany taksówkarz pilotuje nas za darmo do hotelu „Glob”, gdzie bierzemy na 3 osoby pokój za 280 hrywien (ok. 160 zł, 1 hr=0,55 zł). W drodze powrotnej okazało się że „Glob” leży na obwodnicy Tarnopola, tyle że w nocy wjechaliśmy do środka miasta.

Następnego dnia jedziemy od Tarnopola przez Chmielnicki, Winnicę, Umań i Kirowhorod przejeżdżając większą część centralnej Ukrainy po drogach bardzo różnych - zwykle krzywych i hałaśliwych ale rzadko dziurawych. Po drodze płacę 50 hrywien „w łapę” za przekroczenie prędkości. Jadąc w ciągu dnia zaczynam rozumieć piosenki o „zielonej Ukrainie” – krajobraz jest faktycznie wysycony zielenią, a pola ciągną się setkami hektarów aż po horyzont.

W Dniepropietrowsku oczywiście gubimy drogę, jadąc za znakami kierującymi przez uliczki wyglądające jak osiedlowe. Facet popijający piwo na poboczu drogi wyprowadza na właściwy most i wyjeżdżamy z Dniepropietrowska (potem okazało się że ten przejazd był sielanką w porównaniu do drogi powrotnej). Kilkadziesiąt kilometrów za Dniepropietrowskiem wjeżdżamy do Pawłohradu (1100 km od granicy). Przypadkiem trafiamy na pensjonat „Piwdiennyj”, który wcześniej był daczą jakiegoś ministerstwa i za 160 hrywien wysypiamy się w królewskich warunkach ale bez ciepłej wody. Usypia nas żabi koncert z rozlewiska kilkudziesięciu metrów za hotelem. Jest tak głośny, że mój półtoraroczny syn nie jest pewien co myśleć o tych dźwiękach.

Nazajutrz jedziemy przez Ukrainę wschodnią, przejeżdżając przez miasta takie jak Krasnoarmiejsk i Donieck, wjeżdżając do Zagłębia Donieckiego. Gdzieś w okolicach Krasnoarmiejska zaczynają się pojawiać kopalnie, nieco abstrakcyjne wyrastające z niemal całkiem płaskiego krajobrazu. Pierwsza z nich – „Szachta Rossija” to ogromna, wysoka na kilkadziesiąt metrów hałda. Na kołchozowych polach widzę białe namioty z napisem Syngenta – a zatem genetycznie modyfikowane nasiona dotarły i tutaj. Przy drogach zaczynają wyrastać betonowe bunkry-posterunki czyli „posty” DAI (ukraińskiej drogówki), stawiane przy kluczowych węzłach komunikacyjnych na modłę rosyjską. Po drodze, w hotelu „Izmaiłowski” zjadamy sute śniadanie – popularną w Rosji i na Ukrainie zupę „soliankę”, podawaną z cytryną i tutaj z oliwkami.

Przejazd przez kolejne miasto – Donieck – jest kolejnym błędzeniem, wspomaganym przez GPS ustawiony mniej-więcej na granicę i odpytywanie autochtonów. Drogowskazy są schowane za drzewami, reklamami lub nie ma ich wcale tam gdzie nie wiadomo jak jechać. W końcu udaje się wyjechać z Doniecka i kierujemy się na Ługańsk, kolejne górnicze miasto leżące nieco dalej na północ. Z trasy ługańskiej odbijamy po kilkudziesięciu kilometrach na wschód, w kierunku Nowoszachcińska, gdzie jest granica z Rosją. Ostatnie kilometry Ukrainy to długa szosa droga, wiodąca po pagórkach do samej granicy. Jest prosta, dość dobrej jakości i biegnie przez tereny odludne, co zachęca do

rozwinęcia prędkości większej niż podróżne 90-100 km/h. W pewnym momencie wyprzedza mnie biały terenowy Lexus na ukraińskich numerach, jadąc 130 km/h. Wydaje się że zna drogę, więc przyklejam się do niego i jedziemy wspólnie ok. 50 km.

Potem okazuje się że nie znał drogi aż tak dobrze jak się wydawało – po chwili dogania nas cywilna łada, z której okna kiwa lizakiem rozradowany milicjant. Spryciarze jechali za nami kilkanaście kilometrów, starannie filmując na „cyfrówkę” co ciekawsze manewry – wyprzedzanie autobusu na ciągłej i tak dalej. Siedząc w milicyjnym samochodzie oglądam film, z uśmiechem wysłuchuję opowiadań o sędzie, który rozpatrzy naszą sprawę „dopiero w poniedziałek” po czym mówię że może by tak bez protokołu. Po długich targach oddaję 200 hrywien i 20 dolarów. Cena dość niska, biorąc pod uwagę nagromadzenie wykroczeń. Do granicy jadę jak na kursie prawa jazdy. Na terminalu GPS pokazuje ok. 1500 km od granicy w Korczowej – Ukraina została za nami.

Wjazd do Rosji

Granica w Nowoszachtirsku to według mapy przejście drogowe między Rosją a Ukrainą najbardziej wysunięte na wschód. Mimo to ruch jest prawie zerowy – wjeżdżamy na terminal bez czekania. Przed terminalem dopada nas jeszcze agent ubezpieczeniowy, sprzedając rosyjskie OC (wprowadzone od ubiegłego roku). Bardzo drogie – za miesięczne ubezpieczenie płać 2300 rubli (ok. 240 zł, 1 RUR=0,1077 zł), więc następnym razem trzeba będzie o tym pomyśleć w kraju. Postój na samej granicy to głównie „oformlenie” samochodu na „wriemiennyj wwoz” co kosztuje około 250 rubli dla celniczki, która w cenie wypełnia nam od razu deklaracje celne.

Rosyjskie deklaracje celne są wyjątkowo upierdliwe bo choć ich wypełnianie jest proste to zajmuje dużo czasu ze względu na konieczność negatywnego „odptaszkania” szeregu zabronionych dóbr takich jak izotopy, broń i narkotyki a także „wysokoczęstotliwościowe środki łączności” (komórka? laptop z WLAN i Bluetooth?) i „wydawnictwa drukowane i inne nośniki informacji” (to już chyba relikw z czasów „zimnej wojny”).

Cała procedura zajmuje około godziny. Na wyjeździe ukraiński pogranicznik prosi jeszcze o 25 hrywien „na kawę” i jesteśmy w Rosji. Pierwsze tankowanie w Rosji to prawdziwa przyjemność – płać 700 rubli (75 zł) za „do pełna” czyli 64 litry ropy. Diesel jest po 15 rubli czyli ok. 1,60 zł za litr. Jest to zapewne jeden z powodów dla których w Rosji całkiem przyzwoitej jakości chleb kosztuje 7 rubli czyli poniżej złotówki – koszty transportu czegokolwiek są minimalne.

Kilkaście kilometrów za granicznymi Szachtami wjeżdżamy na „trasę federalną” czyli główną magistralę transportową między Moskwą a południem – oficjalnie nazywa się to trasa Moskwa-Rostów. Jest to szeroka, betonowa szosa na której bez problemu można rozwijać prędkości powyżej 100 km/h. Na drodze typowy dla Rosji kolaż starych trupów (grzechoczące Kamazy, drzące Łady i tuningowane Żiguli) i supernowoczesnych terenówek oraz limuzyn. Później na ulicach Nalczika zauważę Hummery, Maybacha i Bentley'a, choć od zeszłego roku widać znacznie więcej „klasy średniej” – Opli, VW, Fordów i wszystkiego tego co jeździ i u nas.

Mijamy kolejne „posty” GAI/DPS (różne warianty rosyjskiej drogówki), które teraz pojawiają się regularnie co kilkadziesiąt kilometrów – na granicach „obłasti”, „regionów” i na wjeździe do każdego większego miasta. Na postach trzeba zwolnić do 30 km/h, czasem stoi znak STOP by dać gliniarzowi czas na zlustrowanie samochodu i pasażerów. Ku mojemu zaskoczeniu milicja wykazuje niewielkie zainteresowanie polskimi numerami i do Nalczika (700 km) zatrzymują nas może ze dwa razy i jedyne

co ich interesuje to „wriemiennyj wwoz”. Kilkukrotnie mijamy radarowców – grzecznie, sześćdziesiątką, uprzedzeni mruganiem przez jadących z naprzeciwka. Odnotowuję antyradar jako obowiązkowy zakup w przyszłym roku. CB z tego co widzę jest raczej mało rozpowszechnione.

Mijamy Rostów nad Donem, przejeżdżamy sam Don, potem dwukrotnie przecinamy rzekę Kubań. O tym że kiedyś były to tereny czerkieskie¹ świadczą nazwy rzek i niektórych miejscowości. (miasta „Czerkasy” i „Czerkieskie” znalazłem nawet nad ukraińskim Dnieprem, a górę „Czerkies”² nawet w Polsce)³.

Odbijamy na lewo drogą M29 w kierunku na Władykaukaz, zostawiając główny ruch osobówek jadących w kierunku na Krasnodar i dalej nad Morze Czarne do Soczi lub Adleru. Droga którą jedziemy to teraz federalna trasa Rostów-Baku. Pogoda psuje się i zaczyna lać. Ostatnie kilkaset kilometrów robię w deszczu i mgłę. Mijając Kropotkin, Armawir mam świadomość że do celu zostały jakieś dwie stowy. Gdy w ulewnych ciemnościach dojeżdżam do Mineralnych Wód i wymarłego o tej porze ogromnego rynku w Piatigorsku jestem prawie w domu.

Za Piatigorskiem przekraczam granicę Kabardyno-Bałkarii, tym razem „post” na którym większość mentowskiej obsady stanowią „kawkazcy” a nie „ruscy”. „Menty-kawkazcy” mają to do siebie, że bywają bardziej „nagli” – potrafią wymuszać „magarycz” czyli łapówkę po chamsku i bez zachowania choćby pozorów naruszenia przepisów, jak rosyjscy.

Mimo moich wcześniejszych doświadczeń z kabardyńskimi milicjantami tym razem przejeżdżamy bez pytań. Jak się okaże później jest to w Rosji trend, a nie szczęśliwy przypadek. Z granicy jedziemy do Nalczika, a potem do Nartanu, rodzinnej miejscowości mojej żony. Znam tę trasę jak drogę z Krakowa do Olkusza. Po godzinie jesteśmy w domu, jest poniedziałek wieczorem a trasa zajęła nad w sumie dwie i pół doby niezbyt szybkiej jazdy z dwoma wypasionymi noclegami.

Rosyjska motoryzacja, dziewczyny Nalczika

W tym roku mój wyjazd upłynął w dużym stopniu pod znakiem ślubu Saída, młodszego brata mojej żony. Chłopak ma 25 lat, przyzwoitą pracę jako przedstawiciel Krafta w Nalcziku i jest to w życiu każdego kabardyńskiego mężczyzny wiek, w którym coraz częściej dosięgają go nieuchronne aluzje rodziców dotyczące zmiany stanu cywilnego. W kluczowych momentach wytaczana jest ciężka artyleria w postaci namolnych cioć, krewnych i babć. W końcu Saíd uległ.

Saíd w ubiegłym roku przesiadł się z gruchotowatej łady na Opla Vectrę. To ostatnie poczytuję jako swoje osobiste osiągnięcie, przynajmniej w zakresie motywacji. Przez ostatnie lata pojawiając się na Kaukazie bez samochodu byłem zmuszony do pożyczania od Saída samochodu i rosyjską myśl

¹ Grupa narodów adygskich składa się m.in. Kabardyńców, Czerkiesów, Adygejców, Abchazów, Szapsugów i Ubychów. Sami siebie określają zbiorczo „Adyge” i mówią językami o wspólnych korzeniach.

² Pomimo poszukiwań nie udało mi się nigdy wyjaśnić pochodzenia nazwy góry „Czerkies”, którą znalazłem w polskim rezerwacie Rostocza. Tym bardziej że obok leży góra „Nart” - nazwa też typowo kabardyńska i oznaczająca mitycznych bohaterów z tzw. eposu nartowskiego. Z drugiej strony sami Kabardyńcy rzadko posługują się nazwą „Czerkiesi” bo nie jest to słowo kabardyńskie tylko nazwa nadana im z zewnątrz.

³ Do XVII wieku Wielka Kabarda była największym państwem na Północnym Kaukazie. Kabardyńcy zajmowali rozległe stepy od przedgórza Kaukazu po Rostów nad Donem. Później w wyniku trwającej 150 lat Wojny Kaukaskiej zostali zepchnięci przez Rosję carską do gór. W wyniku wojennej eksterminacji (gen. Jermołow) i wygnania do Turcji na terenie obecnej Rosji pozostało przy życiu ok. 5% oryginalnej populacji narodów adygskich.

motoryzacyjną znam jak złe nasienie. Silniki produkowane są w technologii niezmiętej od lat 60-tych według projektów włoskich (rosyjska „diewiatka” to wierna kopia Fiata 125p) lub amerykańskich (Lend & Lease). Wykonanie i wykończenie na poziomie głębokiej komuny – to główne wyróżniki rosyjskich samochodów wyprodukowanych nawet pod koniec lat 90-tych. Współczesne Łady Nivy produkowane we współpracy z Chevroletem mają według miejscowych lepszy wygląd, ale podobną awaryjność. Ludzie chwalą natomiast nowe Uazy Huntery – ale Uaz to auto robocze a nie „rodzinne”.

Co ciekawe, nowe „dźwiałki” kosztują tyle co np. nowe Pandy – ponad 300 tys. rubli (ok. 33 tys zł). Niebawem rozwinięty jest więc rzemiosło naprawy samochodów, regeneracji części i „wiejskiego tuningu”, który pozwala pozbawionemu wyboru właścicielowi rodzimego szmelcu pozbyć się kompleksów przynajmniej w stosunku do kolegów.

Zawsze więc argumentowałem Saidowi, że lepsza dwudziestoletnia „inomarka” niż pięcioletnia Łada czy Żiguli. I faktycznie, Vectra z 1991 roku wygląda i prowadzi się o niebo lepiej niż siedmioletnia Łada 99, którą Said jeździł rok temu. Warto dodać, że Rosja ma zaporowe cła na samochody zagraniczne i to niemożliwe do obejścia tak jak u nas przez zaniżanie faktur. Cło płaci się bowiem nie od ceny tylko od centymetra sześciennego – na przykład za mojego dziesięcioletniego Nissana, który kosztował ok. 270 tys. rubli zapłaciłbym cło rzędu 140 tys. rubli – bo i silnik duży i auto dość stare.

Tak czy inaczej szwagier pojawiający się ładnie wyglądającą (bo nie nową) terenówką na obcych numerach to też jakaś nobilitacja, przynajmniej w Nartanie. Mój Terrano to żadna sensacja w Nalcziku, gdzie „riebiata” rozbijają się najnowszymi Patrolami, Land Cruiserami i innymi „krutymi taczkami” a czasem przemyka pedalski Hummer, srebrny i połyskujący chromowanymi zderzakami. Ale ja mam przynajmniej najlepszą „taczkę” we wsi i zapewnione powodzenie wśród nastoletnich sąsiadek. To bardzo budujące.

Ponieważ Said cały czas normalnie pracuje, więc mi przychodzi spełniać rolę woła roboczego. Składam więc w Nissanie fotele i robię z niego dostawczaka. Codziennie z teściową i żoną kursujemy na nalczańskie rynki (Dubki, „Zielony Rynek”). Jak na razie rynki i bazyry skutecznie opierają się inwazji supermarketów, które – co przećwiczyliśmy w Polsce – w ciągu kilku lat doszczętnie niszczą jakość jedzenia na wyścigi wprowadzając na rynek wędlinopodobne „wędliny” w cenie 7,99 zł/kg, które leżą koło mięsa za 14,99 zł/kg – a niby z tegoż mięsa są wyprodukowane. O tkance kostnej chrupiącej w parówkach nie wspominać bo nie jadam ich od lat. Tego na Kaukazie na razie nie ma, a przynajmniej nie stanowi dominującego asortymentu.

Na Kaukazie handel żywnością na bazarach utrzymuje tysiące rodzin a jedzenie jest bez porównania smaczniejsze niż w Polsce. Mam ten bonus że w rodzinie mojej żony dodatkowo prawie wszystkie warzywa pochodzą z własnego ogrodu. Swojskie ogórki są krótkie i krzywe, ale mają smak. Tego właśnie brakuje modelowym euroogórkom hodowanym na wacie szklanej, które można kupić w naszych sklepach. Toteż przez cały wyjazd zażeram się nimi ku zdumieniu miejscowych, ale też dając im powód do dumy gdy wyjaśniam w czym rzecz.

Tymczasem moje panie znikają przynosząc coraz to nowe kartony i worki jedzenia, ja zaś zabijam czas uśmiechając się do przechodzących kabardyńskich piękności, które przyszły z mamą na rynek w podobnym celu. Trzeba wiedzieć, że Kabardynki traktują każde wyjście do miasta jak wyjście na wybieg na pokazie mody i robienie zakupów nie jest tutaj żadnym wyjątkiem. Wszystkie są ubrane elegancko, ze smakiem i paradują na szpilkach, nawet z oskubanym indykiem w siatce.

Rynek to raj dla męskiej duszy i oka. Współczuję wszystkim tym, którzy na Nalczik spoglądają tylko z okien autobusu jadącego pod Elbrus – tam bowiem mogą się napatrzeć co najwyżej na góralki-Bałkarki o posturze Janosika oraz niemieckie turystki ze złączoną z nosa skórą po wyprawie na lodowce Elbrusa. Z urodą kaukaskich kobiet można się zapoznać na stronie [Miss KavkazWeb](http://MissKavkazWeb), a na Kaukazie za najpiękniejsze uchodzą właśnie Kabardynki. Chodząc po ulicach Nalczika czuję się jak na pokazie mody, a co druga dziewczyna to prawdziwa piękność. Nie mówiąc już o wizytach na uniwersytecie...

Co więcej, te gwiazdy po powrocie do domu nie zasiadają do lektury „Cosmo” i nie uderzają „w miasto” tylko pomagają rodzicom, umieją ugotować obiad i zająć się domem. Nawet jeśli mają dwa dyplomy i tytuł doktora nauk. Po pierwszych wizytach na Kaukazie w wieku ok. 30 lat szybko zrozumiałem swoją instynktowną niechęć do ożenku w Polsce i od trzech lat pozostaję w szczęśliwym związku z moją małżonką Iriną, wcześniej wykładowcą socjologii w Nalcziku.

Wśród Kabardyńców funkcjonujący ścisły kodeks obyczajowy mówiący co wypada a czego nie wypada. Kabardyńcy z którymi przebywałem w obecności kobiet nigdy nie pozwalali sobie na wulgaryzmy oraz żarty o podtekście seksualnym czy tematyce klozetowej, które u nas są przejawem wyluzowania. Zasady tej przestrzegali jednakowo bogaci kabardyńscy „krawaciarze” jak i nastoletni chłopcy sprząający stajnię, nie robiąc przy tym rozróżnienia na Kabardynki, Polki czy Rosjanki.

Tym ostatnim odróżniają się od młodych Czeceńców, których sporo do niedawna mieszkało w Nalcziku – u nich pojęcie „kobieta godna szacunku” odnosiło się tylko do Czeceńek, zaś całą resztę traktowali jak prostytutki. Co oczywiście regularnie prowadziło do konfliktów, bo żaden Kabardynec nie popuści jeśli w jego obecności obrazi się kobietę i na tym tle regularnie wybuchaly w Nalcziku mordobicia (ostatnie 27 czerwca, jak przeczytałem w jakichś nowościach).

Pierwszy wyjazd w Tyżył, wizyta w OWIR

Gdy nie pracuję jako szofer staram się wykorzystać maksymalnie czas i wyjechać za miasto. Akurat 6-go czerwca wypada taki dzień, że nic pilnego nie trzeba załatwić w sprawach „ślubnych” więc dzwonię do swojego szwagra Arkadia, który tego dnia ma jechać w góry. Wraz z bratem Ibragimem mają jedną z największych na Kaukazie hodowli koni kabardyńskich. Ich konie pasą się na wysokogórskich pastwiskach położonych na wysokości 2500 m n.p.m., odciętych od świata przez kilkusetmetrowe wapienne urwiska. Na górę prowadzi kilka wąskich ścieżek i całość mogłaby przypominać nieco „Świat zaginiony” z powieści Conan-Doyle’a gdyby nie to że na górze zamiast dżungli jest kilkunastometrowa warstwa czarnoziemu, na którym rośnie bujna, alpejska trawa. A wszystko to, przypominam, na wysokości naszych Rysów – ot, jeden z kaukaskich fenomenów geologicznych.



Hodowla koni w sezonie letnim ogranicza się do doglądania kilku tabunów koni, które w górach świetnie potrafią zadbać same o siebie. W górach od człowieka dostają tylko sól. Dodatkowo ogier-przewodnik dostaje małą porcję owsa. Dzięki temu co wieczór o tej samej porze przygania swój tabun do chatki czabanów, gdzie konie są liczone. Pasterze zmieniają się co 4-5 dni a my jedziemy zabrać Ibragima z jednej z takich zmian. Wyjeżdżamy wcześnie rano i nie niepokojeni przez milicję przejeżdżamy przez Nalczik i kilka postów na jego obrzeżach. Dopiero przy wjeździe do doliny Baksanu, wiodącej w kierunku Elbrusa, moja rejestracja budzi czyjeś zainteresowanie. Milicjant bierze polskie dokumenty i – nic z nich nie rozumiejąc, a więc i nie mogąc się do niczego przyczepić – oddaje je bez większego zainteresowania. Sprawdza starannie „wriemienny wwoz” oraz rosyjskie OC. Dokumenty są ważne więc życzy szerokiej drogi i jedziemy dalej.



Przejeżdżamy przez bałkarską⁴ wieś Gundelen, przez którą w głębokim krasowym wąwozie przepływa rzeka Tyzył, dająca nazwę dolinie zaczynającej się za wsią. [Dolina Tyżyłu](#) jest jedną z najoryginalniejszych i najdzikszych w republice. Przez około 20 km strome wapienne urwiska wznoszące się na wysokość ok. 200 m na zmianę rozchodzą się i schodzą, a droga wiedzie już to dnem ciemnej i głębokiej czeluści, już to szeroką ale równie głęboką niecką porośniętą lasem.

Droga w Tyzyle to utwardzona żwirem gruntówka, która oryginalnie prowadziła do „Turbazy” czyli schroniska turystycznego popularnego w czasach ZSRR. Po „pierestrojce” schronisko zamknięto, linie doprowadzające prąd pokradziono a drogę przestano remontować i od tej pory natura regularnie upomina się o to co wcześniej zabetonowano i wyrównano spychaczami. Obecnie samochodem można dojechać do miejsca położonego ok. 2 km od Turbazy, dalej przejazd blokuje ogromne osypisko. W momencie kiedy pojechaliśmy tam po raz pierwszy droga była zasypana jeszcze wcześniej – ponad 5 km od Turbazy. W takich warunkach najbardziej niezawodnym środkiem transportu są właśnie konie.

Dojeżdżamy Nissanem tak daleko jak się da. Z nami jest Niva Arkadia. Ja wiozę ludzi na zmianę, Arkadi – dwa psy i worki z owsem, żywnością i solą dla koni. Gdy podjeżdżamy do ostatniego osypiska ekipa z góry już czeka z trzema końmi. Szybkie przywitanie i zaczynamy przeładunek. Worki wędrują na jucznego siwka (maść u kabardyńców rzadka, ale występująca). Arkadi sprawdza czy równo wiszą i czy ładunek jest symetrycznie rozłożony. Siwek przez chwilę podszczypuje trawę po czym odwraca się i rusza w kierunku Turbazy. Ludzie na zmianę wsiadają na dwa pozostałe konie i niespiesznie ruszają za nim. I konie i ludzie znają tę drogę jak własną kieszeń, więc jeźdźcy oddają wodze wierzchowcowi a ten sam wie najlepiej gdzie i jak iść. Wśród roboczych koni „wierchowych” nie ma egzemplarzy z narowami, nerwowymi lub płochliwych – takie odpadły na drodze naturalnej selekcji. Koń w górach nie może sobie pozwolić na paniczny cwał bo spadnie i się zabije.

⁴ Bałkarczy i Karaczajewcy to kaukazy górale żyjący na Kaukazie jeszcze z czasów inwazji Imperium Osmańskiego. Ich język – bałkarski – jest praktycznie tożsamy z tureckim.

Stoimy jeszcze przez chwilę i wsiadamy do samochodów. Dalsza droga dla zmiany to kilka kilometrów do nieczynnej Turbazy, skąd zaczyna się zapuszczona „spychaczówka” wychodząca na obszerną polanę Dziaraszli-tau, pod którą kilka lat temu znaleźliśmy piękną, wodną jaskinię o długości kilkudziesięciu metrów.

O tej porze roku polana musi być już porośnięta trawą o wysokości człowieka. Z polany zaczyna się bardzo stroma i wąska ścieżka, biegnąca zboczem urwistej dolinki, którą z pastwisk spływa jeden z licznych



strumieni. Choć trudno w to uwierzyć, „wierchowce” kabardyńce Arkadia wspinają się po tej ścieżce bez trudności z ładunkiem dwóch worków i człowiekiem w siodle.

Z Tyżyłu wracamy do Nalczika, gdzie idę z paszportami do OWIRu. Każdy „inostraniec” ma obowiązek zameldować się w Rosji ciągu trzech dni od przekroczenia granicy, chyba że podróż zajmuje więcej. Z moim meldunkiem nie ma problemu bo przyjechałem na „grażdzańskie przygłoszenie” czyli zaproszenie rodziców żony. Ciotka Ewa, która jest ze mną przyjechała na wizę turystyczną i tutaj pojawia się typowy rosyjski „paragraf 22”. Kilka lat temu firmy wystawiające wizy turystyczne dawały do nich „voucher” czyli fikcyjną rezerwację w jakimś hotelu w Moskwie czy Sankt Petersburgu, który z tego żył. Potem Rosjanie zniesli obowiązek przedstawiania vouchera przy meldunku bo i tak była to fikcja. Firmy przestały więc te vouchery wystawiać.

A tutaj nagle się okazuje, że vouchery znowu są potrzebne. Tak przynajmniej twierdzi lasia siedząca za biurkiem w OWIRze i piłująca pazury. Ponieważ mi się spieszy, sprawa kończy się łapówką w wysokości 2000 rubli. To bardzo dużo ale panienka za nic nie chce ustąpić, więc albo bardzo potrzebuje pieniędzy albo faktycznie taki obowiązek jest. Prawdopodobnie powinienem był jej powiedzieć żeby się pocałowała w nos i szukać wyjścia przez „krewnych i znajomych królika”, co jest w pełni realne ale czasochłonne. A po przekroczeniu świętych trzech dni sprawa urasta w swojej urzędowej powadze o rząd wielkości...

Przy meldunku pojawia się też dodatkowa upierdliwość – konieczność wypełniania kretyńskiego formularza, w którym po pięć razy wpisuje się nazwisko, numer paszportu i inne dane. Po rejestracji mam w paszporcie dwa dodatkowe świstki – po pierwsze wydaną na granicy „kartę imigracyjną”, po drugie potwierdzenie meldunku. Oba zostaną skrzętnie sprawdzone i zabrane na granicy przy wyjeździe z Rosji – w razie ich braku trzeba płacić.

Rosyjska biurokracja fanatycznie wzoruje się na europejskiej ale zawsze przekształca się w jej parodię. U nas trzeba wypełniać setki formularzy i płacić „opłaty za wydanie wiele znaczącej naklejki” albo „opłaty ekologiczne”, które trafiają do budżetu państwa gdzie są marnowane nie wiadomo na co. A w Rosji opłata trafia od razu do kieszeni urzędniczki. Za to później może sobie pozwolić na kupno szpanerskiej Nokii przez którą papla za biurkiem a interesant przynajmniej wie, gdzie są jego pieniądze.

Kradniemy niewiastę

O poranku 7 czerwca zjadam na śniadanie przetwory wyciągnięte przez teściową z otchłani spiżarni – bezmięsne leczo i coś podobnego na bazie bakłażana. U Kabardyńców posiłek bez mięsa w ogóle nie liczy się jako jedzenie, więc teściowa nalega bym zjadł smażoną kurę. O tej porze mam średni apetyt na mięso ale dobrze pobudza go „adżyka” czyli wschodnia przyprawa zbliżona do ostrego keczupu opartego o pomidory, paprykę i czosnek ale o niebo lepsza o krochmalowych mazi z farbką i benzoesanem sodu żartobliwie sprzedawanych w Polsce jako „keczup ze świeżych pomidorów”.

Kursując po mieście przygotowujemy się z kolegami Saida do najważniejszego na dzień dzisiejszy zadania – porwania panny młodej („niewiasty”). W obyczajach kabardyńskich jest to zwyczaj, którego nie wypleniła ani bolszewicka rewolucja ani islam. Kiedyś narzeczone faktycznie porywano z rozwianym włosom na spienionym koniu z jednego aułu do drugiego. Dzisiaj, w dobie milicji, porwanie ma już tylko cechy interesującego obyczaju, w którym przyszła panna młoda spodziewa się „porwania” mniej więcej tydzień przed ślubem ale kiedy ono dokładnie nastąpi – nie wie. Taka romantyczna niepewność.

Narzeczoną powinni ukraść przyjaciele pana młodego – i ja zaliczam się do tego grona, a że mój żelazny rumak jest najładniejszy we wsi, więc Karinę ukradniemy Nissanem.

Trzeba wyjaśnić że o ile do ślubu współczesna młodzież kabardyńska spotyka się ze swoimi wybranymi bez ograniczeń (acz zwykle na spotkaniach poprzestaje) to sam ślub przebiega według odwiecznych procedur. Po kradzieży panny młodej jest ona odwożona do domu pana młodego lub jego krewnych, gdzie nie ma do niej dostępu nikt postronny.

Następnie do jej rodziców jedzie delegacja (w tym przypadku ja ze szwagrem Arkadim) i powiadamia, że ich córka została porwana oraz że taki i taki chce się z nią ożenić. Rodzice wysyłają do niej braci czy kuzynów, których obowiązkiem jest upewnić się czy chce ona rzeczywiście zostać i wyjść za mąż. Dziewczyna może wrócić z nimi do domu, co skutecznie eliminuje przypadki zapalnych młodzieńców faktycznie porywających dziewczyny, które spotkali w życiu trzy razy.

Jeśli odpowiedź brzmi „tak”, to wieczorem przyjeżdża delegacja starszych rodu z jej strony oraz miejscowy mułła. Ten ostatni udziela młodym zaocznego ślubu islamskiego, co zajmuje około 15 minut mamrotania po arabsku. Pewne wątpliwości wzbudza kwestia, czy w ślubie może brać w charakterze obserwatora giaur czyli ja, ale mułła łaskawie zgadza się na moją obecność zanim zdążę wyjaśnić że wcale nie jestem *giaurem* tylko *zimmi*⁵ i według Koranu należy mi się przynajmniej pobyt tolerowany. Następnie starsi siadają za stołem i ustalają szczegóły techniczne właściwego ślubu, który zwykle odbywa się w tydzień później.

W naszym przypadku samo porwanie panny młodej miało przebieg komiczny. Said jak zwykle odwozi Karinę do domu, a my czekamy na trasie w Nissanie. Pech chciał, że moi współtowarzysze byli głodni a sto metrów od planowanego miejsca porwania stała przydrożna szaszłykarnia. Porywacze rozsiedli się więc wygodnie i zamówili jedzenie oraz piwo. Gdy tylko rozpoczęli konsumpcję pojawił się samochód ofiary. Said najpierw zatrąbił, a potem wysiadł i zaczął nerwowo mrugać i machać rękami. Niezrażeni tym porywacze odmówili dokonania swojego dzieła aż nie skończą posiłku. Potem Karina potulnie przesiadła się do Nissana, w charakterze eskorty – zapewne gdyby przypadkiem przyszło jej

⁵ Giaur – niewierny. Określeniem „zimmi” Koran określa chrześcijan i żydów, czyli wyznawców tego samego Boga, którzy pobłądzili w kwestiach proceduralnych i dogmatycznych. W jednych miejscach nakazuje „zimnich” szanować, a w innych traktuje ich na równi z niewiernymi.

do głowy wyskoczyć w trakcie jazdy – wsiedli przyjaciele Saida. Do Nartanu wjechaliśmy z klaksonem i pieśnią na ustach.

Pomimo że zwykle panna młoda spodziewa się porwania, to nie zawsze tak jest. Znam co najmniej dwa przypadki kiedy panna młoda została ukradziona bez wcześniejszego uzgodnienia. W pierwszym z przypadków porywaczem był chłopak, z którym dziewczyna kilkakrotnie spotykała się i rozstawała. W drugim przyszły mąż widział swoją wybrankę trzy razy w życiu, a uprowadzili ją z ułańską fantazją jego przyjaciele, wywołując niemały skandal w domu pana młodego. Jednak w obu przypadkach... porwane dziewczęta powiedziały sakramentalne „tak” i zostały w domu przyszłego męża.

Czyżby sposób na niezdecydowanych narzeczonych i narzeczone?

Impreza po kabardyńsku

Przez miniony tydzień zwoziliśmy do domu jedzenie, stoły, krzesła, przyjechał także zespół muzyczny, który będzie tam biwakował przez najbliższe dwa dni. To że ślub będzie w weekend, nie znaczy że w tygodniu nie przychodzą goście – codziennie przyjeżdżają 2-3 grupy krewnych chcących poznać pannę młodą lub pogratulować rodzicom.

W praktyce oznacza to konieczność nieustannego przyjmowania gości – dla gospodyń ciągłe zmiany nakryć i stawianie nowego jedzenia. Dla mnie i dla innych lokalnych mężczyzn konieczność siedzenia za stołem i zabawiania gości rozmową.

Srodze zawiódłby się ten, kto oczekiwał że na Kaukazie imprezuje się tak jak w Rosji lub tym bardziej w Europie. Nikt nie pląta się tam ze szklaneczkami kolorowych drinków ani nie wlewa w siebie kolejnych puszek darmowego piwa. Spotkanie za stołem przebiega według ściśle określonych przez obyczaj zasad, które w detalach różnią się pomiędzy Kabardą, Gruzją czy Czeczenią, ale zawsze łączą je dwa elementy wspólne: osoba tamady (starszego) i toasty.

Stół przy którym siedzą goście musi być zastawiony jedzeniem w ilości proporcjonalnej do rangi spotkania. Pamiętam swoje pierwsze lata na Kaukazie, gdy siadaliśmy do stołu w 3-4 osoby i żona gospodarza przynosiła kluczowe elementy programu – mięso, pastę⁶ i warzywa - a ja z zakłopotaniem mówiłem że nie trzeba bo jestem po obiedzie. Była to typowa pierwsza reakcja Europejczyka przyzwyczajonego, że idąc w gości należy się najeść bo zwykle będzie można liczyć co najwyżej na herbatę i paluszki. Oczywiście, i na Kaukazie nie nakrywa się stołu dla sąsiadki, która wpadła pożyczyć nożyczki.

Za stołem musi być także starszy czyli „tamada”, który jest jego absolutnym władcą – kto chce się do stołu przysiąść musi uzyskać zgodę tamady, kto chce go opuścić – nawet na chwilę – musi ją również uzyskać. W praktyce stopień sformalizowania tej zgody też zależy od rangi spotkania – przy zwykłych stołach zgoda ograniczała się do kiwnięcia głową.

Rola tamady jest dwojaka. Po pierwsze, wygłasza on pierwszy toast i wskazuje osoby, które prosi o wygłoszenie kolejnych toastów. Jest to zadanie nietrywialne, bo wygłaszający powinni być również wskazywani według starszeństwa. Po drugie tamada dyktuje tempo spożywania napojów

⁶ Pasta – coś w stylu ściętego grysiku robionego z kaszy jaglanej (proso), kiedyś jedzone na całym Kaukazie zamiast chleba.

alkoholowych, co jest bardzo rozsądnym sposobem utrzymania towarzystwa w ryzach i zapobieżenia odpłynięciu biesiadników pod stół.

Za kaukaskim stołem nikt nie popija od tak sobie. Każdy ma szklanekę z wódką czy winem, która służy tylko do wznoszenia toastów i drugą, która zawiera wodę czy sok i służy do popijania. Na znak lub słowo tamady wszyscy biorą „stakan” w prawą rękę i wysłuchują toastu. Po każdym wypiciu 50 gram, przy czym dobre wychowanie każe nie wypijać do końca, wszyscy biorą się do jedzenia. W taki sposób można pić wódkę i do rana.

W Rosji taki sposób picia – ze stołem, tamadą - określa się mianem kaukaskiego i traktuje trochę jako wschodnią fanaberię, ale sami Rosjanie też nie siadają do wódki bez solidnej zakąski – i to nie jakichś tam paluszków czy ogórka, tylko mięsa czy ryby. Dlatego w Rosji za prawdziwych opojów uchodzą właśnie... Polacy, ładujący gorzałę bez zakąski i poprzedziwszy ją krótkim „no to cyk”.

Kolejność spełniania toastu jest również dyktowana starszeństwem i stanowi pole największych różnic między różnymi kulturami. Na naszym ślubie część biesiadników była z Nartanu, gdzie pierwszy pije zawsze tamada, a część z Tereku, gdzie pierwszy pije ten kto wygłosił toast. Na początku konieczne jest więc ustalenie według jakiego porządku się pije.

Obcokrajowcy, oszołomieni krasomówstwem tamady poproszeni o wygłoszenie toastu często zapominają języka w gębie lub popełniają błąd, starając się naśladować kwieciste i wielowątkowe opowieści, kończące się mądrą puentą. To niepotrzebne.

Toasty są niczym innym jak życzeniami, składanymi przez wygłaszającego tym, kogo dotyczy dane spotkanie. Zawsze należy życzyć zdrowia gospodarzom i ich rodzicom oraz „szczęścia temu domowi”. Ograniczając się do zwięzłych życzeń i dodając coś od siebie, choćby i po polsku możemy zaskarbić sobie sympatię, bo miejscowi doskonale zdają sobie sprawę że cała to okołostołowa procedura jest niezwykle skomplikowana.

Stół w rzeczywistości angażuje całą rodzinę. Głowa rodziny zwykle zasiada jako starszy, a młodzież pełni rolę kelnerów. W szczególności rola nalewających napoje jest zarezerwowana dla młodych mężczyzn.

Synowie czy kuzyni, wyrosnięte draby od kilkunastu do dwudziestukilku lat uprzejmie nalewają wino i wódkę, nie traktując tego bynajmniej jako poniżenia czy wykorzystywania. Wprost przeciwnie, jest to dla nich znak awansu z wieku dziecięcego do wieku męskiego, dający możliwość bliskiego obcowania z dorosłymi, obserwowania ich zachowań i przysłuchiwania się rozmowie w trybie „read only”.

Funkcje te nie są przypisane na stałe. Podczas tygodnia poprzedzającego ślub zdarzało mi się zasiadać za stołem i trzy razy w ciągu dnia. W szczególnie wypełnionym wizytami okresie jednego dnia najpierw nalewiałem niespodziewanym gościom wino z braku kogokolwiek młodszego pod ręką by wieczorem zasiąść za stołem w roli tamady dla kolegów pana młodego.

Milicyjne perypetie

W ciągu jednego dnia na nalczzańskich postach zatrzymują mnie trzy razy, najwidoczniej zaciekawieni obcymi numerami. Na standardowe pytanie „odkuda i kuda jedzicie” odpowiadam – zgodnie z prawdą – że jadę „z Baksanionka w Nartan” co ma wydźwięk mniej więcej taki jak „z Pcimia do Pyzówki” w Małopolsce. Zbaraniała twarz menta pozwala się domyślać, że oczekiwał co najmniej

odpowiedzi w rodzaju „och, jadę właśnie z Hiszpanii do Chin i bardzo boję się milicyjnej kontroli”. Oddaje dokumenty i życzy „szczęśliwego puti”.

Na wyjeździe z Nalczika klnę głośno po polsku (co najmniej dwa popularne polskie bluzgi są niezrozumiałe po rosyjsku) bo oto po raz drugi wpakowałem się na milicyjny radar ukryty starannie w krzakach i to w tym samym miejscu co dwa dni wcześniej. Ograniczenie 40 km/h, a ja pędzę z zawrotną prędkością 55 km/h. Rozmowa z rozradowanym gliniarzem przebiega następująco:

- Wy silno pierewyższyli. Nu szto budiem diełat'?
- Zielatielno niczego. (*Najlepiej nic*).
- Kakije pieredłożenia? (*Jakie propozycje?*)
- 50
- 50 nierealno, minimum 100

Następuje transakcja pieniężna. Sto rubli to po naszymu 12 zł, jest to standardowa stawka dla miejscowych. Z „inostrańca” stawka jest taka na jaką się pozwoli oszwabić. Milicjant jest odprężony i ciekawy. Pyta o moją rodzinę („aaa znacit kabardinski zięć, nu ty popa!”), potem pyta ile za tak rażące naruszenie przepisów zapłaciłby w Polsce. Zgodnie z prawdą odpowiadam że prawdopodobnie nic, bo zdarzało mi się jeździć po Krakowie przez miesiąc i nie zobaczyć policyjnego patrolu i to jeszcze z radarem. Milicjant jest wyraźnie zawiedziony, więc dodaję dla osłody że u nas podniesiono im pensje i teraz zajmują się wypadkami a nie czyhaniem po krzakach. Wobec braku spełnienia pierwszego warunku (pensja) milicjant uspokaja się i w ten sposób racjonalizuje swój model biznesowy.

Identyczne pytanie otrzymuję parę dni później od innego patrolu, który zatrzymał mnie za niewielkie przekroczenie prędkości. Tym razem dodaję złośliwie, że poza wypadkami milicja zajmuje się u nas także kierowaniem ruchem jeśli zepsują się światła. W Nalcziku zdarza się to nagminnie i akurat miało miejsce 500 m od miejsca gdzie stoi patrol stróżów prawa. Na skrzyżowaniu Sodoma i Gomora, samochody jeżdżą z klaksonem i w różnych kierunkach jak w Indiach, a ci sobie spokojnie siedzą i bawią się radarem.

Później przy jakiejś okazji znajoma prawniczka Madina skarży mi się, że miejscowa milicja z początku bardzo tępiła kobiety za kółkiem, które faktycznie zaczęły się pojawiać w Nalcziku dopiero 2-3 lata temu. W duchu myślę „i Bogu dzięki” bo z [typowym dla płci pięknej niezdecydowaniem](#) panie mogą w nalczańskim ruchu drogowym wprowadzić sporo zamieszania.

Na Kaukazie jeździ się z fantazją – światła są traktowane jako sugestia, a nie nakaz a pasy na drodze nawet jeśli są, to tak jakby ich nie było. Mimo chwilowego szoku kilka lat temu (obrazki te przypominały mi jako żywo ruch drogowy w Delhi) po krótkiej wprawce zauważyłem, że kierowcy jeżdżą co prawda po kozacku ale przewidywalnie. I nie bardziej po chamsku niż w Moskwie czy Warszawie.

Opisane wyżej perypetie z rosyjską milicją drogową to tak naprawdę drobiazgi, które można opowiadać w charakterze anegdot przy piwie. W rzeczywistości zauważam kolosalną różnicę w podejściu milicji nawet w stosunku do ubiegłego roku. Milicja nie zatrzymuje już kierowców ot tak, dla sprawdzenia do czego możnaby się przyczepić co było normą jeszcze parę lat temu. Ograniczona została liczba postów drogowych na terenie republiki a ich obsady nie starają się na siłę wyciągnąć od zatrzymanego pieniędzy pod pozorem błahych błędów w dokumentach.

Paradoksalnie, pomimo że polskie numery przyciągają uwagę, to w rzeczywistości upraszczają rozmowę z milicją. W ciągu miesiąca byłem zatrzymywany co najmniej dwadzieścia razy z czego większość „z ciekawości”. Milicjant brał polskie dokumenty i nic z nich nie rozumiejąc oddawał życząc szczęśliwej drogi.

Przy wódce o polityce

Z okazji przygotowań do ślubu w naszym domu w Nartanie pojawiają się setki gości, począwszy od sąsiadów i skończywszy na odległych krewnych z różnych miejsc republiki. Jak zwykle przy takich okazjach „inostraniec” staje się atrakcyjnym obiektem do dyskusji, zwłaszcza że temat Polski w rosyjskich mediach gości ostatnio coraz częściej.

Pierwszy dopada mnie Anzor, wojskowy w rosyjskiej armii. Wysoki, wysportowany czterdziestolatek, patriota – ale rosyjski a nie kabardyński. Temat obecnie na topie to tarcza antyrakietowa. Dyskusja przebiega mniej więcej tak:

- No i po co wam ta tarcza? Jesteście pudelkiem imperialistycznego Dżordża Busza, a my będziemy zmuszeni w związku z tym uzbroić nasze granice.

- Dokładnie nie wiem, osobiście w budowie tarczy mam udział niewielki – odpowiadam i dodaję – ale na chłopski rozum jeśli USA stawia tarczę to robi to przeciw komuś. Jeśli przeciw Iranowi to po co te cyrki? A jeśli przeciwko wam to widocznie jakieś zagrożenie z waszej strony jest.

Anzor milczy i trawi tę odpowiedź. Jako wojskowy doskonale wie, że mam rację. Innych wariantów niż podane nie znajduje, więc uderza w tonie „dobrego policjanta”:

- Lepiej wam się będzie z nami przyjaźnić. Rosja ma teraz dużo pieniędzy i wydatki na zbrojenia ciągle rosną.

- Przecież się przyjaźnimy. Siedzimy sobie tutaj, pijemy wódkę, więc o co chodzi? A jak wybuchnie wojna to nic nie zrobisz. Dostaniesz rozkaz, będziesz musiał do nas jechać i walić z kałacha. I nic nie poradzisz. W armii służysz.

Tutaj wtrąca się Said, starając się dyplomatycznie załagodzić spór i wskazać drogę pojednania:

- Jak wybuchnie wojna to przyjeżdżajcie do nas, u nas w republice będzie spokój.

- Tak, lepiej być po stronie silniejszego – pół żartem, pół serio sugeruje Anzor i dodaje – i tak wygramy.

- To nie jest takie pewne – odpowiadam z uśmiechem - w 1920 wasza niezwyciężona Armia Czerwona dostała wzorcowe pizdy pod Warszawą. No i w 1989 Sowiecki Sojuz też się zawalił, chociaż przez pół wieku próbował trzęść światem.

Tu chłopcy milkną. Później rozmawiamy jeszcze o tym co się działo w ZSRR w latach 1939-41, o przymierzu Stalina z Hitlerem, o pakcie Ribbentrop-Mołotow, o Wiktorze Suworowie, o łagrach, o Stalinie i innych typowych politycznych tematach jakie poruszają wywołują spięcia Rosjan z Polakami.

Pytam ich szczerze o rzecz dla mnie zupełnie niezrozumiałą – skąd wynika ta dziwna schizofrenia w stosunku do ZSRR? Z jednej strony odcinacie się kategorycznie od wszystkich zbrodni komunistów, a z drugiej strony zażarcie ich bronicie gdy tylko ktoś im je przypomni. Z jednej strony wokół siebie widzicie wszędzie zrujnowane kołchozy, te pomniki absurdałnej ekonomii socjalistycznej, a z drugiej

strony bronicie jej twierdząc że „każdy wtedy miał pracę” i przy tym nie chcecie pamiętać jak niemal wszyscy w pracy kradli i nazywali to „organizowaniem”? Ale oni są za młodzi żeby to pamiętać – dla nich ZSRR to wielka wygrana z faszyzmem i kropka.

Przypominam chłopakom że w 1991 roku ZSRR skończył swoją działalność z długiem ponad 70 mld dolarów, głównie wobec państw Zachodu. Które nazywał „imperialistycznymi” a cichcem pożyczał od nich pieniądze. Trudno coś na to odpowiedzieć, więc dyskusja się kończy.

W tej rozmowie nie pada na szczęście temat legendarnego polskiego mięsa. Które nawiasem mówiąc w tym momencie obchodzi mnie tyle co zeszłoroczny śnieg - w Kabardzie mam do woli świeżej baraniny i wołowiny wyrosłej na górskiej trawie a nie hormonalno-antybiotykowych koktajlach.

Mięsa nie odpuszcza mi jednak dzień później Zaur, fizyk z uniwersytetu, zajmujący się także końmi kabardyńskimi. Inteligentny człowiek, który nagle okazuje się być stuprocentowym rosyjskim (choć sam Kabardyniec) wykształciuchem, walącym jak czołg logicznymi, przekonującymi i całkowicie bzdurnymi argumentami wyczytanymi w jakimś tamtejszym odpowiedniku Wyborczej (Zaur jest przy tym skrajnym euroentuzjastą, choć w Europie nigdy nie był).

Odpowiadam mu że o polskie mięso powinni się martwić jego producenci i eksporterzy, a na ile znam rosyjskie służby weterynaryjne to panowie eksporterzy po prostu poskąpili i nie zapłacili komu trzeba. A że na rosyjski rynek chcieli wejść Niemcy, Duńczycy czy Brazylijczycy? To przecież rzeczywistość biznesowa, z którą trzeba się liczyć na całym świecie.

Każdy robi to w swoim stylu – im bardziej na Zachód tym więcej ceregieli. W Unii wprowadza się przepis, tak regulujący wymiary [bananów](#) by nie wpuścić [tych co nie trzeba](#) i ustawia sobie rynek za pomocą licznych koncesji, licencji i [rozporządzeń](#). W Polsce wpłaca się pieniądze na konto fundacji dobroczynnej żony polityka, co jest przecież praktyką stosowaną już za czasów hrabiego Monte Christo, który jeśli wierzyć [Taillandierowi](#) za stosowną wpłatę „na fundusz charytatywny” kupił sobie tytuł hrabiowski gdzieś we Włoszech. Historia nauczycielką życia. A w Rosji po prostu przyjeżdża się z walizką pieniędzy.

A może wystarczyło zaprosić kogo trzeba na luksusową wycieczkę z wódką, baranem na rożnie i dziewczkami na rurkach? Sami wiedzą że jest to połączenie przyjemnego z pożytecznym. Świadczą o tym jakże ciepłe relacje dziennikarzy zapraszanych pół wieku temu do ZSRR (słynny Duranty), dekadę temu na Syberię (polscy dziennikarze na zaproszenie Gazpromu, gdy ważył się nasz kontrakt jamalski) czy parę lat temu do Czeczenii „gdzie nie ma już wojny” (teraz prawie nie ma ale wtedy „obserwowanie wolnych wyborów” zakrawało na kpinę). Rosjanie się na takim PR dobrze się znają i potrafią to docenić. Nie od parady w czasach ZSRR mieli jedną z najlepiej rozwiniętych na świecie gałęzi „human intelligence” czyli po prostu werbunku agentury.

Zaur kiwa na to *dictum* głową i przechodzi do tarczy antyrakietowej, bo nic więcej na temat mięsa w swojej gazecie nie wyczytał. Ale tarczy antyrakietowej mam już dość, więc się wykręcam i wracam do tematu koni, bo w tej sprawie wpadłem na uniwersytet.

Obowiązujące w tym sezonie w Rosji trendy intelektualne w ogóle mnie zaskakują. Kto chce brylować na salonach, ten musi dzisiaj lekkim tonem głosić że Politektowska i Litwinienko są ofiarami...

Bierzowski. Bo przecież ich zgony były niedobre dla PR Rosji, a kto najbardziej korzysta na złym PR Rosji? Oczywiście Borys Bierzowski. Trudno oprzeć się skojarzeniu z orwellowskim Snowballem i

wygnanym przez bolszewików Trockim. Ilość powtórzeń słowa-kucza „Borys Bierezowski” w rosyjskich mediach powoduje, że zaczyna to powoli brzmieć jak „Chuck Norris”.

Warto dodać, że rosyjskim wrogiem publicznym numer dwa – po Bierezowskim – jest Dżordż Busz (Rosjanie piszą fonetycznie cyrylicą wszystkie obce nazwy, ale akurat ta mnie śmieszy). U wielu młodych ludzi w Rosji, spotkałem się z zupełnie irracjonalnym, fanatycznym antyamerykanizmem, starannie jednak skanalizowanym przez media w antybuszizm – zapewne na wszelki wypadek, gdyby kiedyś nie daj Boże wygrali jacyś Demokraci. Z podobnym fanatyzmem spotkałem się tylko u co bardziej wykształconych Francuzów.

Najbardziej zaś zdumiał mnie pewien młody prawnik, który mimochodem i zupełnie serio wyjaśnił mi, że Lenin w rzeczywistości był bardzo mądrym człowiekiem, Żydem i znał się bez mała na wszystkim. Jeśli wczytać się w jego pisma to można znaleźć tam zaczątki własnych teorii fizycznych, chemicznych itp. Zanim zdążę zadać pytanie o leninowską doktrynę terroru pada odpowiedź – to Stalin wszystko zepsuł! Ale ja jestem sprytny i pytam czy przypadkiem Stalin też nie był dobry, a wszystkie porażki nie były wynikiem knowań Berii? Tę wersję znam z kolei od ojca jednego z przyjaciół, zacieklego stalinisty. Młody prawnik nie wie co o tym myśleć.

Z drugiej strony zaskoczył mnie Ibragim, który wiele widział – na początku lat 90-tych walczył w Abchazji a potem jeździliśmy wspólnie na zawody z końmi w latach 2002-2004, ale o sympatie proamerykańskie go nie podejrzewałem. Ibragim mówi, że Polska może trzymać albo z Rosją albo USA. Z kimś trzeba. Z dwojga złego Ibragim woli jednak USA, bo historia pokazuje że ich model społeczny i gospodarczy jest skuteczniejszy niż rosyjski. Brukseli, jak wielu Rosjan, nie traktuje zbyt poważnie.

I jeszcze ciekawostka - akurat wtedy gdy byłem na Kaukazie w „Rossijskiej Gazecie” pojawił się obszerny wywiad z Danielem Olbrychskim pt. [„Nie wszystko na sprzedaż”](#) z wywalonym na tytułową stronę cytatem: „w Polsce nie ma wrogości wobec Rosji” (po rosyjsku).

Wymowa wywiadu – z punktu widzenia polskiego „public relations” – doskonała. Oby więcej takich. Pana Olbrychskiego mogę przy okazji ucieszyć, że w Polsce jest i ulica Lermontowa (w Łodzi) i ulica Puszkina (w kilku miastach). Sam ubolewam natomiast nad tym, że nie pokazano u nas jeszcze świetnej serialowej ekranizacji „Mistrza i Małgorzaty” z 2005 roku.

Ślub kabardyński

Piątek 15 czerwca jest zwieńczeniem całotygodniowych przygotowań do ślubu Saida. Od rana do południa noszę kilogramy wołowiny i baraniny z „mięsnego rynku”, który wygląda mniej więcej tak jak krakowski Kleparz piętnaście lat temu. Przypominam sobie, że nigdy nie zdarzyło mi się w tych czasach zatrucie pokarmowe a równocześnie nikt wtedy nie tykał codziennie Zyrteku i innych antyalergicznymi chemikaliów, co jest normą w czasach lamp ultrafioletowych i paranoi ultrasterylności.

Do domu przyjeżdża wyposażenie na najbliższe dwa dni – dodatkowe trzy kuchnie gazowe i dwie ogromne sklepowe lodówki. Przychodzi pięć żelaznych sąsiadek, ubranych jak mama z „Laboratorium Dextera”. Pomagam teściowi zrobić rozdzielacz gazowy do podłączenia nowych kuchenek i podłączyć lodówki. O ile rozdzielacz, zgrabnie zmontowany przy pomocy szlifierki, spawarki i gwintownika, jest zupełnie w porządku o tyle gąszczu poskręcanych drutów poobklejanych odłączającą taśmą izolacyjną i

prowadzących od głównej linii z ulicy budzi zgrozę. Szybko porządkujemy druciane spaghetti i robimy wyjście na lodówki tak, by nic nie miało prawa iskrzyć ani się przegrzewać. Zbliży się popołudnie i zaczynają się zjawiać goście.

Sama ślubna procedura ma charakter dość skomplikowany ale tylko pozornie. Według prawa koranicznego młodzi są małżeństwem od dnia porwania, kiedy zaślubił ich mułła. Według prawa rosyjskiego staną się nimi dopiero jutro, w sobotę, po ślubie w ZAKS czyli rosyjskim urzędzie stanu cywilnego. A według kabardyńskiej tradycji formalnie są małżeństwem od dnia ślubu muzulmańskiego, ale przez pewien czas będą ich obowiązywać pewne ograniczenia.

Piątek to najważniejszy dzień ślubu według kabardyńskich obyczajów. Umówieni na szóstą, w końcu o godzinie dwudziestej przyjeżdżają autobusem krewni panny młodej (typowe „kabardinskije wremia”). Zaczyna grać głośno tradycyjna kabardyńska muzyka, która nie zamilknie przez najbliższe trzy dni. Najpierw z autobusu wysiadają starsi rodu panny młodej, których nasi starsi prowadzą do domu, do specjalnie przygotowanego pomieszczenia z nakrytym dla nich stołem. Później wysiadają babcie i ciotki, które też siadają przy oddzielnym stole.

Na koniec wychodzi grupa młodzieży do lat 40-tu płci obojga, która siada przy jeszcze oddzielnym stole, gdzie i ja potem ląduję. Jako gość (jaki ja tam gość...) miałbym prawo siedzieć ze starszymi, ale dyplomatycznie wykręcam się od tego zaszczytu bo siedziałbym tam jak na tureckim kazaniu. Zamiast tego wolę przyrzeć się nowym kuzynom i kuzynkom.

Po krewnych panny młodej oficjalnie wjeżdżają krewni pana młodego – w tej liczbie także ja, szwagier i nasze małżonki z dziećmi. Syn Arkadia i jego kolega wjeżdżają konno i w czerkieskach.



W ciągu całej procedury weselnej dnia pierwszego nie pojawiają się ani pan młody ani panna młoda. Dzień pierwszy jest przeznaczony na zapoznanie się obu rodzin ze sobą, w szczególności starszych. Za naszym stołem „młodzieżowym” po trzecim toaście następuje przedstawianie się. Każdy po kolei mówi jak się nazywa i kim jest dla młodych – i z której strony. Po mniej więcej dziesięciu toastach, co zajmuje koło półtorej godziny, tamada oficjalnie odpuszcza zgromadzonych na dziedziniec gdzie zaczynają się tańce.

Tradycyjna muzyka kabardyńska jest bardzo dynamiczna i pełna energii. Ma wiele wspólnego z tańcami innych narodów kaukaskich. (np. lezginką) ale [kabardyńskie tańce](#) są w porównaniu np. z czeczeńskimi wolniejsze i bardziej dostojne. Zadaniem kobiety jest zwiewnie i elegancko przesuwając się po parkiecie, co najlepiej oczywiście wychodzi w sukni.

Mężczyzna ma do wyboru szereg ruchów tanecznych począwszy od łagodnych i stonowanych po wyczyny wręcz akrobatyczne. W każdym razie mężczyzna nie powinien się obracać plecami do partnerki. Z tańczeniem jest na początku tak jak i bywa u nas – stoi sobie krąg pięknych dziewcząt czekających aż je ktoś poprosi do tańca, a za nimi czai krąg facetów patrzących jak by tutaj wypchnąć na środek sąsiada – niech on się zbłąźni.

Na szczęście męska duma każe wyjść na środek prawie każdemu z zebranych i zatańczyć tak jak potrafi. Za to młodzieńcy, których parę lat temu trzeba było jeszcze przymuszać do chodzenia na kursy tańca w zespole „Kabardynka” (który swego czasu dawał pokazy i w Polsce) teraz na parkiecie brylują, zapraszając do tańca kolejne słodziutkie kuzynki z obu stron.



Pierwszy dzień ślubu kończymy koło czwartej w nocy trzema butelkami wódki wypitymi na trzech z kuzynami, którzy przez cały wieczór nalewali przy stołach. Teraz mają chwilę dla siebie, więc siedzimy, popijamy i długo rozmawiamy o duperelach.

Rano od dziewiątej zaczyna się krzątanie i przygotowanie do właściwego ślubu w ZAKS, który odbędzie się o piątą po południu. Przygotowania dotyczą głównie pana młodego i panny młodej, więc zabieram kuzynów i jedziemy się wykąpać w odległym o 20 km źwirowisku w Urwanii.

Koło czwartej zbieramy się do miejskiego urzędu stanu cywilnego, który mieści się na skraju pięknego parku w górnej części Nalczika – sanatoryjnej dzielnicy zwanej Dolińskiem. Said jedzie ze mną Nissanem. W urzędzie na szczęście działa klimatyzacja bo na polu jest koło 35 stopni.

Ślubną formułę wygłasza klasyczna w takich miejscach baba o zachrypniętym głosie i martwej tonacji. Stojąca obok Madina informuje mnie z tłumionym śmiechem, że tutejsza urzędniczka udzielała też ślubu jej mamie a z wykształcenia jest specjalistką od hodowli kwiatów czy coś w tym stylu.

Po ceremonii ślubnej, które latem odbywają się taśmowo, państwo młodzi udają się do parku gdzie tradycyjnie składają kwiaty pod pomnikiem bohaterów II Wojny Światowej, robią sobie zdjęcia i tańczą kilka tradycyjnych tańców. Później cały ten mrugający światłami i trąbiący korowód, pełen baloników i wstążeczek przejeżdża przez miasto i rusza pod dom panny młodej. Stamtąd po chwili ruszamy do Nartanu na najważniejszą część ślubu.

Należy tutaj zaznaczyć, że w piątek i przez prawie całą sobotę pan młody formalnie nie powinien pokazywać się na oczy starszym – tak będzie aż do momentu gdy zostanie oficjalnie przedstawiony starszym, którzy złożą mu życzenia. Drugi ciekawy obyczaj dotyczy panny młodej, która z kolei nie może się pokazywać swoim nowym teściom od momentu kradzieży do ślubu – czyli prawie przez tydzień. W praktyce ma to błogosławiony wpływ na teściową, która ma czas by przywyknąć do obecności w domu drugiej gospodyni bez nieuniknionych konfliktów – a młodej żonie zadomowić się bez ciągłego nadzoru czujnej teściowej.

Sobota to dzień właściwego wesela i wieczór należy głównie do młodzieży, która pojadłszy za stołem rusza w tańce, trwające do późnej nocy. Kto się wstydzi, ten ma szansę być wyciągniętym do tańca przez przebrane za „dziada” i „babę” dziwadła. Impreza kończy się koło trzeciej w nocy – oficjalni goście wyjeżdżają koło drugiej, potem jeszcze muzykanci – sami już na niezłym gazie - popisują się solówkami i akrobatycznymi figurami tanecznymi. Nad ranem odwożę ostatnich gości do Nalczika. Trochę mi żal, co to za wiejskie wesele bez mordobicia. A tu wszyscy tacy grzeczni.

Ostatni dzień ślubu – niedziela – jest przewidziany dla wszystkich sąsiadek i kuzynek, które pomagały przy organizacji ślubu. Stół jest nakrywany wyłącznie dla nich. W ciągu dnia roznosimy wszystkie stoły i krzesła, które pożyczyliśmy wcześniej od sąsiadów. Jest piekielnie gorąco.

Przy okazji zauważam, że sto metrów od domu rośnie sobie autentyczna morwa, na której mieszkają jedwabniki. Owoce morwy są bardzo smaczne, później dowiaduję się że wcześniej robiono z nich kompot i dżemy. Objadam się nimi do końca pobytu w Nartanie.

Przy obiedzie przekomarzam się z Lidią – młodą sąsiadką o urodzie Agnieszki Dygant, która koniecznie chce żebym znalazł jej narzeczonego z Polski albo z Europy. Marzy o mężu-pantoflarzu, który będzie spełniał jej zachcianki i da jej we wszystkim wolną rękę. Z Kabardyńcem to nie przejdzie, więc Lidia grymasi i wybrzydza nad kolejnymi potencjalnymi narzeczonymi. – Ciotowatych facetów w Europie możesz znaleźć na pęczki – mówię - ale po pół roku poczujesz się jakbyś żyła z kobietą i od niego uciekniesz. Uśmiecha się, ale widać że swoje wie.

Arkadia i mnie czeka jeszcze dzisiaj jedna misja – mamy pojechać do krewnych Kariny i uzgodnić termin rewizyty, która ma nastąpić w ciągu tygodnia od ślubu. Procedura odbywa się według specyficznego obyczaju, więc nie można tego załatwić po prostu przez telefon.

Jedziemy z Arkadiem do Nalczika i wchodzimy do mieszkania, gdzie czeka na nas Sławik – wujek Kariny, który sadza nas za stołem. Nalewa nam jej kuzyn Murat. Arkadi chce poruszyć kwestię terminu rewizyty, ale Sławik – jako starszy – nie pozwala mu na to. Najpierw trzeba wypić. I tak zaczyna się niesamowita gra, która potrwa przez najbliższe dwie godziny. Zadaniem gospodarza jest jak najdłużej zatrzymać gości – zadaniem gości jest jak najszybciej wyjść. Jest to niełatwe, bo wyjście musi przebiegać zgodnie z zasadami a ich stróżem jest... gospodarz.

Pierwszy, drugi i trzeci toast są ogólnikowe. Dopiero po czwartym Arkadi może nawiązać do właściwego celu w jakim przyjechaliśmy. Kwestię terminu rewizyty, ilości osób i godziny ustalamy w ciągu pięciu minut. I zaczyna się gra. Polega ona na tym, że Arkadi wygłasza jakąś uroczystą kwestię oznaczającą, że jesteśmy szalenie wdzięczni za gościnę ale musimy niezwłocznie opuścić naszego gospodarza, na co Sławik równie uroczyście ripostuje, że oczywiście ale...

To „ale” przybiera formy różnych naruszeń kodeksu obyczajowego – na przykład toast poprzedzający wyjście należało wygłosić na stojąco. Następuje długi i interesujący spór filozoficzny na ten temat po czym Arkadi podnosi kolejny toast – tym razem stojąc. Tutaj jednakowoż pojawia się kolejne uchybienie, które wielce zatroskało Sławika – w toaście należało wspomnieć przodków gospodarza... I tak przez dwie godziny.

W końcu wychodzimy z Arkadim i wracamy do domu, gdzie zdajemy relację. Ponieważ wszystko było wiadome z góry, jest ona przyjęta krótkim skinieniem głowy starszych i ze szwagrem zasiadamy do zasłużonego obiadu przepijanego wódką. Wybija północ, na polu jest przyjemne dwadzieścia stopni.

Drugi wyjazd do Tyżyłu

W Nalcziku większość dróg jest asfaltowana ale żeby bezpiecznie zjechać z głównej ulicy trzeba zwolnić do 5 km/h. Na mniejszych ulicach zieją półmetrowe dziury a czasami brakuje pokryw studzienek. Rowy wykopane w celu położenia rur lub kabli są zasypywane ziemią – wtedy powstaje wgłębienie – lub ziemią z kamieniami – wtedy powstaje wybrzuszenie. Nie mam pojęcia gdzie

prezydent Kanokow jeździ swoim Maybachem, mam wrażenie że jest to możliwe tylko po Prospekcie Lenina w tę i z powrotem.

Ten ciągły off-road nadwyrężył zawieszenie Nissana, którego kupiłem tuż przed wyjazdem i nie miałem czasu zweryfikować na polskich drogach. Koła zaczynają jeździć niezależnie od siebie i samochód dziwnie zachowuje się na zakrętach, więc prawdopodobnie trzeba będzie wymienić końcówki drążków.

Ze znajomych jeżdżących terenówkami wybieram Asłana i proszę go o pomoc – daje numer swojego mechanika Zaura. Leje od rana, więc i tak nic ciekawego nie da się robić. U niego na podnośniku okazuje się że poza drążkami strzelił także jeden stabilizator, co wyjaśnia tajemnicze klekotanie na wybojach. Chyba nawet wiem kiedy – jadąc po Nartanie w nocy, nawet powoli, ma się 50% szansy na wpadnięcie do jednej z głębokich dziur. Statystyka podpowiada, że jeżdżąc tak kilkanaście razy w tygodniu szansa zbliża się do jedności. A mnie się trafiła akurat taka o głębokości rowu przeciwczołgowego.

Pytam Zaura o części – w tym momencie dowolną część do dowolnego samochodu można ściągnąć do Nalczika w ciągu 7-10 dni. To dla mnie za dużo, więc Zaur proponuje regenerację czyli de facto wymianę śrub w gałkach, bo poprzednie nie nadają się do użytku. Umawiamy się na piątek, kiedy mam mu przywieźć auto i zostawić na cały dzień. Przy okazji sprawdzamy też inne rzeczy ale łożyska i krzyżaki, które przezornie przywiozłem z Polski na razie nie będą potrzebne. Na „regenerowanych” końcówkach dojadę potem bez problemu do Polski.

W dzień remontu będę uziemiony i nie chce mi się spędzać tego dnia oglądając dubbingowanego po rosyjsku „Shreka 3” i „Piratów Karaibskiego Moria na kranca mira”. Dzwonię więc do Wiktora. Wiktor to tytan pracy – Rosjanin, właściciel wydawnictwa specjalizującego się w historii Kabardy. Jego ostatnia seria wydawnicza to przewodniki historyczne po Kabardyno-Bałkarii, więc zawsze chętnie jeździ na wycieczki krajoznawcze. Postanawiamy pojechać do tej samej doliny Tyżytu, z której odbierałem Ibragima i sprawdzić dwa potencjalnie ciekawe miejsca. Trzeba tu wyjaśnić, że Kabardyno-Bałkaria była przedmiotem badań archeologicznych w niewielkim stopniu. Jest przy tym usiana tajemniczymi monolitami, menhirami i starymi grobowcami spotykanymi w najbardziej niedostępnych miejscach. Temat ten interesuje Wiktora. Nikt też nie penetrował jej pod kątem jaskiniowym, co z kolei interesuje mnie.

Do doliny wybieramy się Nivą. Jedzie z nami Żanna, młoda Kabardynka, też ciekawa postać jak i jej pracodawca. Żanna zajmuje się profesjonalną fotografią a przy tym co pół roku podsyła mi mimochodem maile ze zdjęciami i komentarzem „o, a tutaj sobie lajtowo weszliśmy na Elbrus od zachodniej strony” czym wpędza mnie w kompleksy, bo ja od paru lat nie mogę się zebrać i wejść tam normalną trasą.

W dolinie Tyżytu najpierw sprawdzamy grotę leżącą nad „Czarcim Mostem” – przerzuconym w najwyższym miejscu doliny nad wyjątkowo głębokim i krętym kanionem krasowym, jaki wyrzeźbiła rzeka. Grota z drogi wygląda na łatwo dostępną – jakieś 30 m prostej wspinaczki po



połogich trawkach. Krąży plotka, że są tam jakieś ślady bytności człowieka – co może być prawdą bo pieczara stanowi wręcz wymarzone stanowisko obserwacyjno-strzeleckie. W rzeczywistości okazuje się jednak że aby dostać się do trawek trzeba najpierw przejść kilkadziesiąt metrów, trawersując po skale nad kanionem rzeki. W razie omsknięcia można zlecieć do kotłującej się na dole wody. Mamy jedynie 20 m cienkiej linki, więc odkładamy wspinaczkę do przyszłego razu a ja zapisuję sobie że trzeba przywieźć spitownicę albo haki.

Drugie ciekawe miejsce to stara ścieżka złodziei bydła, wiodąca według relacji Ibragima z polanki leżącej 100 m za „Czarcim Mostem” na samą górę stumetrowego klifu stanowiącego ścianę doliny. Z dołu wygląda to na niemożliwość ale i tak postanawiamy sprawdzić. Przez dwie godziny przedzieramy się przez gęste zarośla rosnące na stromym stoku prowadzącym pod skalne ściany. Wspinając się wzdłuż ściany dochodzimy do pieczary wymytej pod warstwicowym wapieniem czy czymś podobnym. Pod pieczarą wali się w dół obszerne osypisko – wygląda to dziwnie, tak jakby ziemia wysypała się z samej groty.

Chwilę odpoczywamy i ruszamy dalej. Po kilkadziesiąciu metrach stajemy zaskoczeni – wchodzimy na coś, co jest zarośnięte i zaniedbane ale ewidentnie było kiedyś szeroką i wygodną ścieżką, po której bez problemu można przeganiać trzy krowy koło siebie. Wspinamy się nią w górę i docieramy do ogromnego obsuwiska o szerokości stu metrów – wielki kawał ziemi ześlizgnął się po prostu i poleciał w dół doliny. Dokładnie pod nami jest grota – wiadomo już skąd to osypisko. Próbuje wejść na obryw, ale daję sobie spokój gdy spod buta osypuje się lawina ziemi i kamieni.

Ścieżka była poprowadzona bardzo zręcznie – później z dołu widzę, że była to jedyna przelączka w ciągłej linii wapiennych ścian. Schodzimy w dół starając się iść śladem ścieżki, ale dawno zniknęła więc przedzieramy się po prostu przez krzaki. Przy okazji trafiamy na polanę ukrytą za skałą stojącą nad „Czarcim Mostem”.

Rozmawiamy z Wiktoorem o leżącej niedaleko dzikiej dolinie Urdy, w której kilkaset lat temu odbyła się jedna z największych bitew Kabardyńców z mongolskimi najeźdźcami zakończona zwycięstwem porównywalnym z naszym Grunwaldem. Dwa lata temu Żanna znalazła tam tajemnicze naskalne inskrypcje, do których dostać się znowu można tylko z użyciem sprzętu. Wspominają także o płytach skalnych i jaskiniach, w których ściany pokryte są napisami runicznymi, o „greckiej drabinie” czyli fragmencie kamiennej drogi ułożonej pośrodku stumetrowego urwiska w jednej z dolin i innych miejscach, świadczących o bogatej choć słabo poznanej historii tych okolic.

Wieczorem jedziemy do Auszegegeru – odległego o 20 km basenu z wodą płynącą wprost z gorącego, siarkowego źródła. Typowy czas na wizytę w Auszegegerze to 22-23 wieczorem – wcześniej jest za gorąco. Gorąca woda dobrze robi po całym dniu w górach, a po takiej kąpieli człowiek śpi jak zabity.

Katolicka misja na Kaukazie

Kiedy rano zadzwonił do mnie Ibragim i z charakterystycznym dla siebie przekąsem spytał czy nie chcę pójść do kościoła i uzyskać odpustu za swoje liczne grzechy byłem nieco zdziwiony. Grzechy i owszem, ale kościół w Nalcziku? Dwa lata temu bez powodzenia szukałem kościoła katolickiego w niedalekim Prochładnym – skończyło się to na dwugodzinnym krążeniu po miasteczku. Iść za radami mieszkańców krążyliśmy między synagogą, meczetem i cerkwią prawosławną i poddaliśmy się gdy w końcu dotarliśmy do bożnicy Świadców Jehowy.

Tymczasem okazuje się że Ibragim nie żartuje – w Nalcziku działa niewielka ale prężna misja katolicka pod kierownictwem kilku księży z Francji. Głównym animatorem tego przedsięwzięcia jest o. Laurenty, który skontaktował się Ibragimem w związku z jednym z projektów misji.

Jadę po Ibragima i spotykamy się z o. Laurentym w Nalcziku. Kościół mieści się na pierwszym piętrze budynku na ulicy Tołstogo, sto metrów od Prospektu Lenina (chyba na złość temu ostatniemu). Jest to zwykły budynek mieszkalny, nieco sakralnego nastroju wprowadza jedynie dopracowany wystrój – drewniana boazeria i witraże na klatce schodowej, mocno odróżniające się od postsowieckiego, odrapanego wystroju sąsiednich klatek.

Głównym ośrodkiem misji jest wieś Błagowieszczienka około 30 km od miasta Baksan w stronę Prochładnego (jakieś 50 km od Nalczika). Misja – poza wsparciem dla lokalnej społeczności katolickiej – zajmuje się głównie działalnością charytatywną, którą należałoby właściwie nazwać pozytywistyczną pracą u podstaw.

Francuzi starają się zaktywizować lokalną młodzież starszą i młodszą, która cierpi na powszechną w byłym ZSRR chorobę - „ukąszenie kołchozowe”, będące formą kaca po „ukąszeniu heglowskim” ich rodziców. Charakteryzuje je nuda, poczucie beznadziei i brak jakiegokolwiek celu w życiu. Na ścianach misji dostrzegam więc różne przemysłne grafiki i schematy, pomagające w organizacji czasu oraz inne materiały edukacyjne.

Jednym z najnowszych projektów misji jest hodowla koni, stąd kontakt z Ibragimem, który obiecuje załatwić niedrogo kilka koni i osprzęt na jesieni, kiedy konie zostaną spędzone z gór w doliny. Księża wpadli na ten pomysł gdy zobaczyli że jedną z niewielu rzeczy, która rusza miejscowe dzieci są właśnie konie – dzieciarnia potrafiła chodzić w upale kilka kilometrów do niedalekiego upadłego kołchozu i dogadywać się z tamtejszym stróżem, który pozwalał im jeździć na starej chabcie pamiętającej jeszcze zapewne czas y Romanowów.

Błagowieszczienka (w wolnym tłumaczeniu „Radosna Nowina”, co kojarzy mi się z katolickim internatem w podkrakowskich Piekarach, niedaleko którego trzymałem przez jakiś czas swoje konie) to w ogóle bardzo ciekawa miejscowość, stanowiąca jeszcze jeden żywy dowód niesamowitej historii tego kraju. Ludność tej wsi to około 3 tys. dusz, z czego większość stanowią... Polacy, którzy żyją tam jeszcze z czasów carskich.

Są to prawdopodobnie potomkowie zesańców z czasów podboju Kaukazu (obszerną historia tych czasów można znaleźć u Józefa Darskiego). Podczas tej krótkiej wizyty nie udało mi się spotkać z żadną z polskich rodzin, ale według Francuzów nie mówią oni już po polsku – noszą za to czysto polskie nazwiska (Borowski, Żukowski, Zdanowicz, Kasprowicz, Rusiecki) i nazywają się Polakami.

Poza tym w Błagowieszczence mieszka trochę Niemców (zapewne z czasów carskich lub II Wojny Światowej), Ukraińców i Białorusinów. Pytam ojca Laurentego o stosunek miejscowych do księży – odpowiada że zarówno miejscowa ludność jak i lokalna administracja odnoszą się do nich z neutralnym szacunkiem i nigdy nie mieli najmniejszych problemów w związku z prowadzeniem misji, nie spotkali się z też z wrogością ze względu na religię. Jak pisałem wcześniej, kaukaski islam jest specyficzny...

Wracamy z Ibragimem do jego stadniny w pośpiechu, bo na miejscu czeka na niego nie byle jaki gość – minister Każarow przyjechał pojeździć konno ze swoją córką. W chwilę później przyjeżdżają kolejni

klienci – obsada kabardyńskiej misji MCK (Międzynarodowego Czerwonego Krzyża). Obsługuje ona Nalczik i Grozny, po mieście krąży kilka białych Landroverów Defenderów tej organizacji.

Przysiadam się do nich gdy czekają na osiodłanie koni i zaczynamy luźną rozmowę. Pochodzą z Estonii, Francji i Słowenii. W zeszłym tygodniu byli na wycieczce konnej w górach ale niezbyt im się spodobało, więc przyjechali do Ibragima. Pytam z ciekawości czym się zajmują na codzień i... czuję się jakbym poruszył temat, którego poruszać nie należy. Zapada krępujące milczenie, które przerywa w końcu Słoweniec mamrocząc coś o „koordynacji działań na rzecz wzmożenia wysiłków”.

Biorąc pod uwagę, że ostatnie dwa tygodnie spędzili bujając się na koniach to chyba nie wysilają się zbytnio. Przez następne dziesięć minut siedzą ponuro, jedynie panna z Estonii dla podtrzymania rozmowy stwierdza znudzonym tonem, że za rok może ewentualnie wybierze się na Kamczatkę, bo jest ona obecnie modna. Fajna praca, jest dużo czasu na rozrywkę, tylko nie wiem czy bym wytrzymał w tak bucowatym towarzystwie.

Wyjazd w Przyelbrusie

W ostatni weekend przed wyjazdem do Polski zostajemy zaproszeni przez Aksanę, koleżankę żony, na wspólny wyjazd w góry. Wyjazd jest składkowy, co znaczy że dziesięć osób zrzuca się na wynajęcie busa, który zawiezie nas w góry i z powrotem. Atrakcje planowane na miejscu to szaszłyk a także kilka miejsc, w których – jak twierdzi Aksana – spełniają się życzenia.

W Nalcziku ładujemy się do żółtej Gazeli – samochodu, który w Rosji pełni rolę taką jak u nas Sprinter, Jumper i inne przystosowane do przewozu ludzi busy. Ta na co dzień jeździ jako kursowa „marszrutka” i może do niej wejść czternaście osób. W środku poznajemy kilka Czeczenek z Groznego, również znajomych Aksany o nazwiskach Dadajewa i Kadyrowa.

Dojazd w Przyelbrusie zajmuje półtorej godziny – z Nalczika jedzie się najpierw kurhanopodobnymi pagórkami w okolicy miasta Baksan i wjeżdża w rozległe wejście do doliny rzeki Baksan. Po drodze mijamy najdłuższą w republice wieś Zajukowo (coś jak nasza Zawoja), elektrownię wodną na zboczu doliny i kopalnię tufu wulkanicznego. W okolicy powszechne jest wykorzystywanie żółtawych bloczków wielkości pustaka wyciętych z tufu do budowy domów i murów. Mijamy charakterystyczne ostańce pozostałe po wulkanicznym bombardowaniu kilka tysięcy lat temu przez odległy o prawie sto kilometrów Elbrus.

Przejeżdżamy przez miasto Tyrnauz, leżące w zwężeniu doliny Baksanu i słynne głównie z nieczynnej kopalni wolframu, która rozpościera się na stromych zboczach doliny. Wydaje się, że mogą się tam co najwyżej paść kozice, tymczasem w „sowieckije wiremia” na niewielkim plateau leżącym na wysokości 3 tys. m n.p.m. zbudowano cały kombinat, połączony z dnem doliny siecią kolejek linowych transportujących na dół urobek. Dzisiaj nawet rosyjskie zakłady metalurgiczne kupują wolfram w Chinach i kopalnia jest martwa. Kilka lat temu przez Tyrnauz przeszła fala powodziowa, zatapiając w nocy kilka bloków mieszkalnych – choć wydaje się to niemożliwe, bo leżą one dobre 100 m nad obecnym lustrem rzeki Baksan.

W miejscowości Wierchij Baksan skręcamy w lewo w niewielką, asfaltową dróżkę idącą w stronę doliny Ułtu-Tau (bałk. „wielka góra”). Po drugiej stronie doliny znajduje się początek szlaku biegnącego wokół Elbrusa, który można podobno obejść na piechotę w 9-10 dni. W przyszłym roku spróbuję go objechać na koniu jeśli czas pozwoli. Tymczasem droga do Ułtu-Tau po pół kilometra

niespodziewanie kończy się prawie pionową ścianą progu skalnego, podnoszącego dno doliny o prawie 100 metrów wyżej. I tutaj czeka na nas jeden z najbardziej zdumiewających owoców radzieckiej myśli technicznej – potężny, linowy podnośnik, który pod kątem 45 stopni wynosi do góry platformę na której może ustawić się spora wycieczka lub samochód. W ten sposób do doliny wjeżdżają nawet duże ciężarówki. Wjeżdża i nasza Gazela.

Na górze po kilkuset metrach znajduje się „post” czyli posterunek graniczny. Wjazd do doliny jest możliwy tylko za „propuskiem”, który można otrzymać w Nalcziku w biurze wojsk ochrony pogranicza ze względu na to, że dolina kończy się kilkoma przełęczami prowadzącymi do Gruzji. Robimy sobie przystanek, bo siedzący tam żołnierz musi pracowicie przepisać wszystkie dane z naszych paszportów do swoich zeszytów.

Gdy siedzę sobie na moście podchodzi do mnie kilku rosyjskich emerytów i zagajają rozmowę – nagle orientuję się że mają mnie za pogranicznika, tym bardziej że siedzę w spodniach moro, pasiastym podkoszulku i „wojskowej” czapce – jest to najłatwiejszy do dostania w Nalcziku strój turystyczny. Odpowiadam coś wymijająco, bo niespecjalnie mam ochotę udzielać panom odpowiedzi na pytania w rodzaju „jak rozwalacie pieprzonych Czeczeńców, którzy na pewno przekradają się przez granicę z tonami heksogenu”.

Gdy kontrola jest skończona wsiadamy do Gazeli i ruszamy. Przejeżdżamy most „graniczny” i zatrzymujemy się 50 m za nim, przy leśnym miejscu biwakowym nad rzeką. Aksana ogłasza, że dla powodzenia dalszej wycieczki niezbędne jest przyjęcie w tym miejscu pewnej ilości „świętej wody” (u nas to się nazywało „aqua vitae” czyli woda życia, po spolszczeniu „okowita”). Ale oczywiście w stylu kaukaskim, czyli żadnego „chluśnięm bo uśnięm” – panie wyładowują smażoną baraninę, pieczoną kurę, ogórki, pomidory, czosnek w ząbkach, cebulę w plasterkach, dwa rodzaje chleba i do tego wino, piwo i schłodzoną „okowitę”.

Biesiadujemy dobrą godzinę, zwijamy wszystko z powrotem i jedziemy dalej. A przynajmniej próbujemy – zaczyna się krótki, ale stromy podjazd, którego obciążona Gazela nie jest w stanie pokonać. Wsiadamy więc i na piechotę przechodzimy trudny odcinek – taki manewr będziemy powtarzać jeszcze kilkakrotnie. Mimo to jestem pod wrażeniem, bo Gazela wspina się kamienistą gruntówką mniej więcej jakości takiej, jak droga gospodarcza do schroniska na Hali Gąsienicowej, gdzie cały transport jest przecież robiony samochodami terenowymi. Pytam kierowcy co myśli o amortyzatorach po tej wycieczce, ale nie przejmuje się specjalnie – i tak wymienia je średnio co dwa miesiące, więc tydzień w tę czy we wtę nie robi różnicy.

Po drodze mijamy małą elektrownię wodną, zaprojektowaną w całości przez jednego z przewodników górskich działających w dolinie, wyjeżdżamy z lasu i odkrywa się przed nami pełna panorama doliny. Wokół śnieżnobiałe czterotysięczniki, z których zwisają jęzory lodowców. Zatrzymujemy się. Aksana wskazuje niepozorny strumyk, który doprowadza nas do grupy kamieni – wokół nich stoją dwa drzewa obwieszane wstążkami. Jest to miejsce gdzie spełniają się życzenia.

Aksana twierdzi jednak, że niezbędnym warunkiem jest kąpiel w lodowatym strumyku o głębokości około pół metra. Ponieważ jest upał, więc bez większych ceregieli oddalamy się z resztą mężczyzn za niedaleki głąz i w stroju Adama nurkujemy w potoku. Zanurzenie w krystalicznej wodzie scina krew w żyłach i na chwilę odbiera oddech, ale po wyjściu człowiek jest jak nowo narodzony. Oddalamy się do samochodu, podczas gdy panie też dokonują rytualnej ablucji.

Dojeżdżamy do „turbazy” Ułtu-Tau – jak na górskie schronisko jest to baza ogromna, bo składająca się z kilku sporych budynków oraz kilkunastu bungalowów. Dzisiaj jest jeszcze zamknięta, sezon zaczyna się za parę tygodni. Za Aksaną idziemy dalej, w stronę końca doliny. Ścieżka biegnie przez osuwiska i piargi aż wreszcie doprowadza do grupy kilku głazów, które też mają specyficzną moc. Drzewka wokół też są obwieszane wstążkami.

Wracamy w pośpiechu żeby zdążyć na podnośnik, który kończy pracę około osiemnastej. Parę kilometrów za Wierchnim Baksanem, kawałek od szosy, zatrzymujemy się w przyjemnym miejscu i rozpalamy grilla. Lądują na nim marynujące się od rana w octowej zaprawie kawałki baraniny i wołowiny.

Samochodem na Elbrus

Po powrocie z doliny Ułtu-Tau jedziemy wymoczyć się w gorących źródłach Auszegegeru. Następnego dnia znowu jedziemy tą samą trasą, tym razem moim samochodem. Chcę wyjechać na Czeget, porobić trochę zdjęć i może trochę pochodzić. Jeśli będzie czas, to chciałbym także podejść pod przełęcz Azau-Baszi i zrobić rekonesans pod kątem przyszłorocznego trekkingu. Przełęcz leży za Elbrusem, prowadzi w stronę Karaczajo-Czerkiesji i biegnie przez nią szlak wokół Elbrusa.

Znowu mijamy Baksan, Tyrnauz, Wierchni Baksan i jedziemy biegnącą w niewysokim sosnowym lasku drogę do Przyelbrusia. Gdy dojeżdżamy na miejsce czyli na parking pod kolejką na Czeget okazuje się że w całej okolicy nie ma prądu i to już od Tyrnauz. To się czasem zdarza gdy obsuwisko zerwie przewody elektryczne ale w tym przypadku podobno strzelił jakiś transformator. Ponieważ kolejka linowa jest na prąd, więc stoi ze smętnie zwisającymi krzesetkami.

Zjadamy więc śniadanie zapijając go porannym piwem. W zeszłym roku widziałem na pośredniej stacji kolejki ciężarówkę Kraz, więc musi być tam jakaś droga. Prosto z parkingu strzela do góry stromy podjazd o nachyleniu jakichś 45 stopni porośnięty trawkami i poryty śladami, ale nie wydaje mi się żeby wspinał się po nim Kraz. W końcu znajduję niewyraźną gruntówkę odchodzącą za okolicznymi barami równoległe z rzeką. Wsiadamy do samochodu i wjeżdżamy w dolinę za Czegetem.

Gruntówka prowadzi wzdłuż rzeki tak długo, że aż zaczynam się zastanawiać czy nie wyprowadzi nas na manowce. W końcu jednak zakręca o 180 stopni, zaczyna wspinać się pod górę i już wiem że to jest właśnie droga na Czeget. Przed podjazdem muszę kawałek cofnąć i zapiąć napędy bo nie wiadomo co będzie dalej.

Droga podnosi się krętymi serpentynami to przez las, to przez malownicze łąki. W końcu dojeżdżamy do miejsca, z którego widać kolejkę linową i końcówkę stromego podjazdu, którym chciałem rwać na początku. Robimy zdjęcia na dolinę Baksanu i jedziemy dalej. Niestety, w pewnym momencie zaczyna się stromy kamienisto-gliniasty podjazd, na którym moje szosowe opony nie dają rady. Wycofujemy się i jedziemy na dół.

Od Czegetu do Elbrusa jest jakieś 5 km. Dojeżdżamy na miejsce czyli na polanę Azau, z której startuje kolejka kabinowa na Elbrus – w dzisiejszym dniu również martwa. W stosunku do ubiegłego roku sporo się zmieniło – na środku dawnego parkingu stoi wyglądająca jak UFO stacja nowej kolejki krzesetkowej dla narciarzy. Poza tym jest całkiem pusto, nie licząc robotników wykańczających nową stację. Co ciekawe, sto metrów od stacji na górskich trawkach pasie się wielbłąd dwugarbny, jak sądzę pełniący w sezonie rolę atrakcji turystycznej.

Podchodzę do starszych Bałkarców pijących piwo przy jednym ze stołów i pytam jak wygląda wyjazd samochodem na Elbrus. Mówią że do pierwszej stacji kolejki terenówką można próbować, a potem jak Allah da. W ubiegłym roku jakiś facet grzał LandCruiserem (bardzo rozpowszechnione na Kaukazie) i na wysokości 3500 m zarył się po osie w piachu tak, że musiał go wyciągać gąsienicowy transporter (kilka stoi na dole na parkingu). Brzmi dobrze, więc wsiadamy do samochodu, mijamy pocięty znak zakazu wjazdu (wygląda tak jakby czasem służył za tarczę strzelniczą) i ruszamy „wpieriod”.

Z dołu Elbrus wygląda jak kupa żużlu – i tym faktycznie jest. Rozległy ale stromy stok pierwszego zbocza Elbrusa to płyta wulkanicznego żużlu i popiołu, twardego i sklejonego ale przy ruszeniu butem lub oponą natychmiast podnoszącego tumany pyłu. Na pierwszy próg wyjeżdżamy bez problemu, mijając po drodze kilku turystów, którzy ambitnie wspinają się w upale pod górę. Normalnie wejście na szczyt Elbrusa zaczyna się jakieś 1500 m wyżej, z ostatniej stacji kolejki ale w sytuacji awaryjnej gdy kolejka nie działa trzeba całe 2000 m w pionie pokonać na nogach. Przypominam sobie swoje podejścia i robi mi się żal, ale samochód mam załadowany po brzegi.

Na pierwszym progu spotykamy wracających z góry turystów z Niemiec, którzy wyglądają jak smażone kurczaki – pogoda jest piękna, więc na lodowcu musi być jak w mikrofalówce. Są zdziwieni samochodem na polskich numerach stojącym na wysokości 2500 m od poziomu morza i jakieś 3000 km od kraju. Rozmawiamy z nimi przez chwilę i ruszamy dalej. Niestety kolejny podjazd to pylista i luźno związana mieszanina popiołu z kamieniami, na której szosowe opony nie mają szans. Zostawiamy sobie ten problem na przyszły rok, robimy zdjęcia i zjeżdżamy na dół.

Po drodze mijamy wspinającego się pod górę turystę z plecakiem, na którym w ostatniej chwili widzę napis „ORBIS 2006”. Uśmiechał się na nasz widok pod nosem, więc pewnie rodak. Pozdrowienia, jeśli kiedykolwiek to przeczyta.

Nawiasem mówiąc, w 1997 roku w ramach akcji promocyjnej rosyjskiej filii Land Rovera firma Awtodom zorganizowała wyjazd „Defem” (LR Defender) na szczyt Elbrusa. Akcją kierował rosyjski himalaista Aleksander Abramow. Samochód udało się wytargać na górę (!) różnymi patentami wciągarkowymi, ale podczas zjazdu na dół zerwała się jedna ze śnieżnych kotwic i auto zleciało w przepaść. Wot, off-road po rosyjsku. Mam mieszane uczucia bo kiedy taki wyczyn staje się elementem kultury popularnej i w lesne ostępy ruszają tabuny niedzielnych off-roaderów czy quadowców to przestaje ma to mieć cokolwiek wspólnego z przygodą i zmienia się w zorganizowane rycie szlaków.

Powrót

Przyszedł czas powrotu do Polski – przed nami około 2200 km drogi plus parę drobiazgów motywujących do pośpiechu. Po pierwsze, 30-go kończy mi się dowód tymczasowy na auto. Po drugie, tego samego dnia ciotce kończy się wiza. Dzisiaj jest 28-my wieczorem.

Co prawda, polski dowód rejestracyjny mało kto dokładnie przegląda ale pierwszy wnikliwy policjant oznacza konieczność wymyślenia legendy pt. „ta data nie oznacza końca ważności” i w ostateczności łapówkę. Pakuję samochód i żegnam się z sąsiadami (a zwłaszcza z sąsiadkami). Małżonka z teściową pakują nam do samochodu wielkie torby ze smażonym kurczakiem, jajkami na twardo i innym asortymentem, który będę dojadł jeszcze przez tydzień po powrocie.

Rano 29-go wyjeżdżamy o 5-tej rano. Said na pożegnanie odprowadza nas do postu na Szafuszcze, ostatniego w Nalcziku. Godzina za godziną mijamy kolejne miasta – Piatigorsk, Armawir, cały czas kierując się na Rostów. W miarę jak wstaje dzień, na trasie pojawia się coraz więcej ciężarówek, plujących parafinowymi oparami ze starych diesli.

Droga do Kropotkina to olbrzymie połączenie pól i kompletna pustka – przez kilkadziesiąt kilometrów nie ma absolutnie nic – ani wsi, ani stacji, nie ma niczego, jak w *bon mocie* Krzysztofa Kononowicza. I właśnie w tej nudnej pustce nagle jak zjawa pojawia się na drodze milicjant z lizakiem... Spryciarze czaili się za drzewami. Zdumiony absurdalnością miejsca zasadzki otwieram okno i pytam:

- A wy odkuda?

- Od wierbluda – żartuje milicjant o wesołej, kozackiej gębie i wyjaśnia moje przewinienie: - tutaj ograniczenie 90, a wy jechali 103 – na dowód pokazuje wyświetlacz radaru. Nie wierzę mu za bardzo, bo sztuczka jest stara jak świat – nasza polska drogówka bywała na tyle bezczelna, że potrafiła rosyjskiemu kierowcy pokazać radio z wyświetlaczem pokazującym „102 FM” i wmówić że to jego prędkość. Zaczynam więc targi:

- 10 kilometrow eto nie pierewyższenie, cziełowiekom nada byt’.

- 10 nie 10, no porugat’ nada – odpowiada milicjant. „Porugat’” czyli „okrzyczyć”, „zganic’” brzmi tutaj komicznie.

- Tagda rugajtie.

- 50 rublej – „ruga” mnie więc milicjant. W sumie po jakich 45 sekundach od zatrzymania rozstajemy się i jadę dalej. Przed Kropotkinem widzę kolejną zasadzkę, tym razem mruganiem uprzedzają mnie uprzejmi kierowcy z naprzeciwka. Milicjant zatrzymał kogoś po przeciwnej stronie szosy ale biedactwo nie może przejść przez jezdnię. Dobrze tak sukinsynowi.

Żar leje się z nieba. Przejeżdżamy Rostów. Ponieważ mapę Rosji zostawiłem w Nalcziku, nie pamiętam dokładnie gdzie jest skręt w stronę Ukrainy. Dopytujemy się na stacji i w miejscowości Szachty skręcamy na zachód, w stronę Nowoszachtinśka. Przed samą granicą tankujemy jeszcze diesla po 15 rubli za litr, na granicy stoimy jakąś godzinę i już jesteśmy na Ukrainie.

Zaczynają się idiotyczne drogowaskazy typu „spaghetti” ale tutaj pamiętam już mniej więcej jak jechaliśmy. Poza tym mam zaznaczone na GPS co większe miasta. Dojeżdżamy Doniecka i... oczywiście gubimy drogę bo w mieście GPS jest nieprzydatny a pieprzone drogowaskazy pokazują kierunki zupełnie z innej bajki albo nie ma ich w ogóle. Gdy w końcu wyjeżdżamy na jakąś trasę, okazuje się że prowadzi ona nad... Morze Azowskie.

Klnę na czym świat stoi i na najbliższej stacji kupuję mapę Ukrainy ale to nie rozwiązuje problemu donieckiego. Choć wydaje się to niewiarygodne wśród całej obsługi nie ma nikogo, kto wiedziałby w którym kierunku jest wyjazd na jakiegokolwiek sąsiednie miasto. Na szczęście trafiam na kierowcę z ukraińskiej ciężarówki, który wyjaśnia mi to dokładnie. Po godzinie krążenia opuszczamy Donieck. Dobrze, bo kończą mi się powoli polskie przekleństwa.

Do Dniepropietrowska wjeżdżamy już wieczorem i znowu zaczyna się karuzela. Znaki na Krasnoarmiejsk wyprowadzają w jakąś osiedlową uliczkę, na której kończy się asfalt. Znowu z ekspresją werbalną na ustach wracam do ostatniego punktu, który pamiętam z drogi „tam”. Trochę

na pamięć, trochę według GPS przedzieram się przez Dniepropietrowsk i wyjeżdżam na trasę. Kawalek za miastem tankujemy i dojadamy zapasy, w które zaopatrzone nas w Nalcziku.

Dalsza droga idzie monotonnie, ale jakby szybciej – jak zwykle gdy się wraca. Mijamy te same hałdy „Szachty Rossija”, uprawy genetycznie modyfikowanych zbóż i nad ranem docieramy gdzieś w okolicy Winnicy. W nocy spałem na kilku kolejnych stacjach po 1-2 godziny. Zatrzymujemy się w przydrożnym barze, jest koło 7 rano. Za stołem siedzi kilku chłopca i robi tak na oko po trzecim piwie. Zjadamy tutejszy barszcz (u nas „barszcz ukraiński”), wypijamy po kawie i jedziemy dalej.

Za Winnicą doganiamy krajana – samochód na krakowskich numerach, wypakowany do granic możliwości bagażem i z trójką dzieci. Na oko wracają z Krymu. Mrugamy sobie światłami i przez kawalek trasy jedziemy wspólnie. Miłe uczucie, bo do Polski jest jeszcze jakieś 500 km. Później, przed granicą, polskich samochodów jest znacznie więcej.

Droga do granicy to znajome już miasta Tarnopol, Chmielnicki i Lwów. Na granicy znowu stoimy co najwyżej półtorej godziny i oto jesteśmy w Polsce. Przypominam sobie, jak pierwszy raz wiele lat temu przekraczałem w autobusie granicę w Brześciu. Po wjechaniu do Polski chciałem wysiąść i ucałować rodzimy asfalt, a potem uroczyście potrząsnąć dłonią pierwszego napotkanego policjanta – za to że są wzorem uczciwości i praworządności.

W Polsce zaskakuje mnie jeszcze jedna rzecz – przestają słyszeć drogę i zaczynam słyszeć silnik. Droga od Korczowej jest równa jak stół, co po łomocie na ukraińskiej tarce robi na początku niepokojące wrażenie. Za to silnik zaczyna pracować jak Perkins w kombajnie i wyrzuca z siebie smugi dymu. To kolejna lekcja – nie należy tankować na ostatniej stacji po ukraińskiej stronie, bo leją tam nie wiadomo co. Trzeba patrzeć gdzie stoi najwięcej tirów.

Zatrzymujemy się przy sporym jeziorze gdzieś między granicą a Rzeszowem. Z miejsca wbiegam do wody tuż koło tablicy „zakaz kąpiele”. Woda jest co prawda po kolana, ale wystarczy żeby zmyć z siebie dwudniową skorupę i senność. Wrzucamy gumiate hot-dogi i ruszamy do Krakowa...

Informacje praktyczne – samochodem do Rosji

Od paru lat Rosja nie jest już krajem, gdzie bez śladu mógł zniknąć cały samochód z kierowcą. Nie jest to jednak równocześnie Europa, którą można przejechać na wskroś nie widząc ani jednego patrolu policyjnego. Kilka praktycznych uwag dla osób wybierających się samochodem do Rosji.

Jakie dokumenty trzeba zabrać ze sobą:

- **Polski dowód rejestracyjny samochodu** (ros. „techpasport”). Jeśli samochód nie jest zarejestrowany na nas (np. leasing), to trzeba mieć **notarialne upoważnienie** do korzystania z niego! Bez przeszkód jeździłem natomiast na dowodzie tymczasowym.
- **Polskie prawo jazdy** (ros. „prawa”). Część milicjantów domaga się zwykle tłumaczenia na rosyjski. Należy uprzejmie wyjaśnić, że jest ono wymagane tylko powyżej 3 miesięcy pobytu. Dla świętego spokoju warto wyrobić sobie w Polsce **międzynarodowe prawo jazdy** (100 zł), które zawiera sekcję po rosyjsku.

Jakie dokumenty dostajemy na granicy (też sprawdzają):

- **Rosyjskie ubezpieczenie OC** (ros. „strachowka”). Wykupione na miesiąc na granicy rosyjskiej kosztuje ok. 250 zł, więc warto sprawdzić czy nie sprzedaje go jakaś polska firma. Uwaga – standardowa „zielona karta” nie obejmuje Rosji!
- **Dokument czasowego wwozu** (ros. „wriemiennyj wwoz”, „udostowierzenie wwoza transportnego sriedstwa”). Dokument pozwalający na czasowe poruszanie się po Rosji nieoclononym samochodem na obcych numerach. Na granicy należy zadbać (\$\$\$) by został wystawiony na odpowiednio długi czas (np. miesiąc) a nie na standardowy tydzień lub dwa. Można go przedłużyć w urzędzie celnym na miejscu, ale trzeba na to poświęcić czas.

Na co należy uważać:

- **Milicja drogowa** (ros. DPS, DGPP, dawniej GAI). Działa tak jak u nas w latach 90-tych, włącznie z czajeniem się za drzewami i wymuszaniem łapówek fikcyjnymi naruszeniami przepisów. Ma to też dobre strony – nie ma takiego problemu (np. nieważne dokumenty), którego nie da się załatwić za gotówkę. Wysokość stawki zależy głównie od dowcipu kierowcy i w pewnym stopniu znajomości rosyjskiego kodeksu drogowego. W ostatnich latach zjadliwość milicji znacząco zmalała.
- **Ograniczenia prędkości**. Oficjalne ograniczenia są takie jak w Polsce ale lokalizacja patroli bywa absurdalna i służy zbieraniu gotówki a nie zwiększaniu czyjegokolwiek bezpieczeństwa. Gdy kierowcy z naprzeciwka mrugają, należy zwolnić do obowiązującego ograniczenia. To samo jeśli zwalniają na naszym pasie. Bardzo przydaje się antyradar.
- **Pasy**. W Rosji prawie nikt nie zapina pasów. W miastach można też nie zapinać, natomiast na trasie jak najbardziej warto ze względu na znaczną liczbę zdezelowanych gratów, które często powodują wypadki. Należy uważać na pasy w miejscowych samochodach, bo mogą być czarne od kurzu i pobrudzić ubranie.

Wyposażenie

- **Części zapasowe**. Części do większości auto można ściągnąć do dowolnego miejsca w Rosji w ciągu tygodnia, powszechna jest też regeneracja zużytych części. Warto mieć ze sobą zapasowy filtr paliwa i powietrza. Na prowincji ze względu na dziurawe drogi szybciej może się zużywać zawieszenie, można zabrać zapasowe końcówki drążka kierowniczego.
- **Gaśnica, trójkąt, apteczka**. W Rosji nikt tego nie sprawdza.
- **Antyradar**. Wyposażenie obowiązkowe wobec maskujących się w krzakach patroli milicji.
- **CB**. Nie widziałem żeby było specjalnie rozpowszechnione na ciężarówkach na południu, prawdopodobnie będzie można pogadać głównie z kierowcami polskich TIRów.
- **GPS**. Milicja nie robi żadnych problemów, jeździłem z eTrexem wyłożonym pod przednią szybą.

Ceny paliwa

- Diesel na Ukrainie – ok. 3,50 hrywny czyli ok. 2 zł za liter. Na stacjach przygranicznych mogą lać świństwo. W głębi kraju mi się to nie zdarzyło. Trzeba patrzeć gdzie tankują inni, zwłaszcza TIRy, które na słabym paliwie mają znacznie większe problemy niż osobówka.
- Diesel w Rosji – ok. 15 rubli czyli 1,6 zł za liter. Nie spotkałem się ze ewidentnie złym paliwem. Po miesiącu jednak silnik czasami przerywał przy przyspieszaniu. Wymiana filtra paliwa i

powietrza pomogła. Według manuala do Nissana przyczyną mogła być także bardzo wysoka temperatura powietrza.